Nr. 51. Poznań, niedziela 22-go grudnia 1895. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“
wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: Piekary nr. 6.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

PRZEDPŁATA KWARTALNA
wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: Piekary 6. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA:
20 fenigów od wiersza petytowego.

Pojedyńczy numer:
w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen

Treść:

Czas odnowić przedpłatę!

Przedpłata kwartalna wynosi:
Na wszystkich pocztach cesarstwa niemieckiego i Austryi
5 mr. (3 złr.)
W mieście Poznaniu, w ekspedycyi naszej wraz z odnoszeniem do domu
4 mr.
We wszystkich innych krajach z przesyłką opaskową
5,50 mr.
„Przegląd Pozn.“ zapisany jest w księgach pocztowych Niemiec i Austryi pod lit. II. t. 90a.

Od Redakcyi.

Na progu nowego roku odzywamy się do czytelników naszych z słowem podzięki i gorącą prośbą. Bieżący kwartał stał się dla nas wymownym dowodem, jak ta idea, która pismo nasze powołała do życia, mimo tysiącznych prześladowań i zawiści, rośnie i coraz nowych zdobywa wyznawców. Podwyższając przed trzema miesiącami cenę abonamentu, lękaliśmy się chwilami — czego nie taimy bynajmniej — że w opłakanych stosunkach materyalnych zaboru pruskiego zeszczupleć może liczba abonentów. Dziś jednak stwierdzamy z dumą i radością, że liczba ta urosła tak znacznie, jak w żadnym z poprzednich kwartałów. Zdobywamy jednę piędź ziemi po drugiej, kierunek nasz z dnia na dzień zyskuje nowe zastępy szermierzy, a obecnie nie opiera się już wyłącznie na inteligancyi miejskiej, lecz ogarnia coraz szersze koła przemysłowe i ziemiańskie. Zawdzięczamy to w pierwszym rzędzie żywotności idei przez nas reprezentowanej, ale zawdzięczamy również energicznej agitacyi czytelników naszych, których część znaczna nietylko bierną darzy nas sympatyą, lecz od domu do domu niesie nasze hasła, dążenia i przekonania. W uciążliwej i denerwującej pracy redakcyjnej ten krzyk zapału, to serdeczne przywiązanie czytelników i te z dniem każdym pomyślniejsze rezultaty działania są nam jasnym promieniem otuchy i ożywczem tchnieniem. Gdyby wobec zorganizowanej, dyszącej nienawiścią a bezwzględnej w środkach kontragitacyi przeciwników naszych nie było takich objawów czynnej miłości w szeregach tego stronnictwa, któremu służy „Przegląd Poznański“, to może nam powołanym na eksponowane stanowisko kierowników pisma ani sił by nie stało, ani wiary niezbędnej do walki. Więc tym, którzy stojąc przy sztandarze naszym torowali mu zwycięzko drogę w apatycznym i w mrokach reakcyi pogrążonem społeczeństwie, składamy słowa serdecznej podzięki, prosząc, by w Nowym roku z tą samą energią i męztwem nieugiętem zjednywali nam świeże zastępy czytelników. W naszych warunkach cicha kontemplacya nie zdobędzie jutra, — nam trzeba wyznawców-żołnierzy, abonentów-działaczy. Niech każdy z stronników naszych poczuwa się do obowiązku zyskać choć jednego czytelnika, jedno nowe ognisko idei postępowo-demokratycznej, a obóz „Przeglądu“ rozrośnie się niebawem do rozmiarów cyfry potężnej, wywierającej wpływ silny na rozwój życia narodowego.

Redakcya „Przeglądu Pozn.“ z swej strony dołoży wszelkich starań, aby pod względem doboru i barwności materyału politycznego i literackiego zadowolić nawet wybredne wymagania. Pochlebne opinie, wypowiedziane przez najwybitniejszych publicystów polskich i obcych o charakterze pisma naszego niechaj nam będą listem żelaznym, z którym przestępujemy próg nowego roku i do społeczeństwa pukamy. Równocześnie jednak poczuwamy się do obowiązku nadmienić, że uznanie pierwszorzędnych pisarzy i rosnące sympatye szerokiej publiczności skłoniły nas do wytężenia wszystkich sił, aby w przyszłym kwartale stanąć przed publicznością z nowym szeregiem współpracowników, którzy nazwiska swoją dobrze zapisali na kartach literatury i nauki ojczystej. Redakcya nasza zawarła mianowicie umowę z jednym z poważnych publicystów zaboru rosyjskiego, na mocy której ukazywać się będą w „Przeglądzie Poznańskim“

„Listy z Warszawy“,

czyli społeczno-polityczne kroniki życia zakordonowego. Dotychczasowa działalność tej nowej siły publicystycznej, która staje w szrankach pisma naszego, jest niewątpliwą gwarancyą, że „Listy z Warszawy“ odznaczać się będą ścisłością informacyi i objektywizmem krytyki, a tem samem wyróżnią się korzystnie z całej powodzi podobnych korespondencyi, zalewających pisma poznańskie i galicyjskie, a opartych niejednokrotnie na faktach zmyślonych lub szczegółach skrzyonych.

Oprócz tego znakomity publicysta pan *K. Bartoszewicz*, obiecał w dalszym ciągu zasilać „Przegląd Poznański“ kronikami galicyjskiemi, zapisanemi tak dobrze w pamięci czytelników naszych, — a równocześnie stają do szeregu wytrawni korespondenci z Berlina, Paryża i Londynu.

W dziale literackim i artystycznym znajdą czytelnicy „Przeglądu“ w nowym kwartale prace *Asnyka*, *Chmielowskiego*, *Tetmajera*, *Feldmana*, *Jabłonowskiego*, *Marrené-Morzkowskiej*, *Jellenty*, i wielu innych pierwszorzędnych literatów polskich, a grono naszych lokalnych i prowincyonalnych współpracowników rozszerzyło się przypływem nowych sił w dziedzinie społeczno-ekonomicznej.

Niemniej i dział powieściowy zapowiada się bardzo ponętnie dla czytelników naszych, bo zdobyliśmy oprócz przekładów najgłośniejszych utworów nowelistycznych cudzych pisarzów, kilka interesujących prac rodzimych autorów; w najbliższym już czasie rozpoczniemy druk cennej noweli *Ola Hanssona* p. t.

„Bezdomny“.

Nadmieniając wreszcie, że w zakresie spraw prowincyonalnych, a mianowicie miejscowej polityki i dyplomacyi liczyć możemy na pomoc bardzo poważnych źródeł informacyjnych, zwracamy się do czytelników naszych raz jeszcze z usilną prośbą, aby sympatyami swojemi nadal nas zaszczycać raczyli.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Jak dziwne stosunki i jak dziwny duch panują w niektórych polskich Towarzystwach zachodnio-pruskich, o tem świadczy następujący artykuł „Gazety toruńskiej“ p. t. „Bóle posedańskie“: (Nr. 288.)

„Swego czasu zamieściliśmy korespondencyę donoszącą, że pewien dostojny gość „Towarzystwo Przemysłowe w Nowem“, którego członkiem nie był, skłonił do wzięcia udziału w obchodzie sedańskim. Sprawa ta miała epilog wprost oburzający.

Oto ów gość urządził formalną nagankę na naszego korespondenta. Nie mogąc zaś niczego wykryć, przyszedł na posiedzenie a nawymyślawszy z góry autorowi korespondencyi i redakcyi, która ją przyjęła, zaczął członków jednego po drugim pytać, czy znają naszego korespondenta. Wszyscy odpowiedzieli naturalnie, że go nie znają. Tylko p. Znaniecki zeznał, że wie o autorze, ale nie widzi potrzeby, żeby go wymieniać. Skoro przecież okaże się potrzeba, autor sam się zgłosi. Tedy ów gość oświadczył, że tu widocznie istnieje tajny spisek. Słysząc to p. Znaniecki a nie chcąc innych narażać na podejrzenie o tajne spiski, przyznał, że on sam pisał do „Gazety Codziennej“.

Gość oznajmił zaś, że nie myśli bywać w Towarzystwie, które ma w swem łonie członków podchwytujących każde słówko i opuścił zgromadzenie, pochwaliwszy Pana Boga. Tylko do p. Znanieckiego zwrócił się mówiąc: „*Guten Abend, Herr Znaniecki*“.

Co dalej? Oto p. prezes, bardzo gorliwy sedańczyk zabrał głos i rzekł: „Panowie! Uroczystość sedańską święcił cały świat (?) jak najuroczyściej i wszyscy (?) brali w niej udział, tylko socyaldemokraci nie — a p. Znaniecki nas tak „poblamerował“.

Skutek przemowy był ten, że większość zbębnionych na zebranie członków sedańskiego ducha, p. Znanieckiego z Towarzystwa wykluczyła. Nie wstyd to dla niego, tylko dla owych sedańczyków, którzy widocznie bali się, aby p. Znaniecki, należąc do Towarzystwa nie przerobił na dzielnych wiarusów tych członków, którzy są dobrego ducha, ale na razie dali się zbałamucić

Krzywdą wyrządzoną panu Znanieckiemu Towarzystwo przemysłowe w Nowem „zblamowało“ się przed całem polskiem społeczeństwem. Ta krzywda jeżeli rychło nie zostanie naprawiona, sprawi iż Towarzystwo prędzej czy później rozleci się na cztery wiatry.

Owemu dostojnemu gościowi zaś, który przy zakładaniu „Towarzystwa przemysłowego“ w Nowem oświadczył podobno, że do czysto polskiego Towarzystwa należeć nie może, a potem poszedł na jego posiedzenie tylko na to, żeby wśród zgodnego dotąd ludu wywołać kłótnie o niemieckie „juble“, możemy i dziś powtórzyć:

„Lepiej było się siedzieć w domu!“

* * *

P. t. „Mieszczaństwo a Bank ziemski“ zamieszcza „Orędownik“ w Nr. 287 następujące uwagi.

Jest smutnym faktem, że mieszczaństwo nasze pod względem ofiarności patryotycznej i finansowego udziału w instytucyach publicznych stoi daleko po za szlachtą.

Powody tego smutnego objawu są dość naturalne; mieszczaństwo nasze jest majątkowo bez porównania słabsze. Dziś wszakże nie jest tak słabe, żeby w finansowych instytucyach naszych nie mogło zaznaczyć swego patryotyzmu, który już w sobie w dziejach porozbiorowych wyrobiło.

Prócz słabości majątkowej muszą być zatem jeszcze inne powody, sprawiające, że udział mieszczaństwa naszego w instytucyach finansowych jest tak mały. Z kół mieszczańskich nie tylko mało biorą akcyi, ale jeszcze ci, co je nabywają, nie czynią tego z głębokiego przekonania, lecz głównie z względów konwenansów towarzyskich i z spekulacyi.

W dość szczupłych kołach zamożniejszego mieszczaństwa, które zakupywanie akcyi naszych instytucyi narodowych uważa za obowiązek patryotyczny, za cnotę obywatelską, nia ma zgoła wiary do przedsiębiorstw przez szlachtę podejmowanych. Bez niechęci do szlachty, owszem z uznaniem dla pewnych zasług szlachty i jej ofiarności, mają te koła głęboko zakorzenione przekonanie, że co szlachta weźmie w rękę, to zepsuje.

To jest najrzetelniejsza część naszego mieszczaństwa, uczciwie pracującego i dorabiającego się i uczciwie myślącego o obowiązkach względem Ojczyzny.

Siedziba tego mieszczaństwa jest tak Poznań jak prowincya; jest ono liczebnie zawsze dość szczupłe; składa się wyłącznie z samych dorobkiewiczów, których cechuje skromność. Już ta sama skromność wstrzymuje ich bardzo od udziału w projektach finansowych szlachty, a jeżeli biorą udział, czy z własnego popędu, czy skutkiem namowy drugich, to mówią między sobą wyraźnie że dają na przepadłe. Dają wtedy pieniądze, ale zdania swego nie zmieniają.

Apel p. dr. T. Szułdrzyńskiego, w tę stronę wysłany, zostanie prawdopodobnie bez skutku.

Obok tego koła mamy inne koło mieszczaństwa także zamożniejszego i światlejszego, idzie ono ręka w rękę z szlachtą i gdzie może, tam przystępuje do instytucyi finansowych. Ci wysuwają się naprzód, nie na to żeby dać, ale na to, żeby za to jeszcze więcej wziąć, innemi słowy, żeby na patryotyźmie zarobić. Niektórzy z nich mówią o tem bez ceremonii, a patryotyzm tylko dla cnoty, dla ofiary, bez zarobku lub widoków zarobku nazywa się w ich słowniku — „głupstwem“! Ich siedzibą jest także Poznań i prowincya. Ci podejmą odezwę dr. T. Szułdrzyńskiego i będą jej robili reklamę, — robiąc równocześnie reklamę także i sobie czy jednak pieniądze dadzą lub zdołają innych nakłonić do zakupienia akcyi Banku ziemskiego, to inne pytanie.

To mieszczaństwo potrafiło zaznaczyć swą egzystencyę i swe wpływy — przy nafcie galicyjskiej. Oni głównie wyciągnęli z społeczeństwa pół miliona marek. Jeżeli dziś z takiem przygnębieniem ducha patrzeć musimy na to, jak trudno wydobyć z społeczeństwa pół miliona marek na uzupełnienienie drugiej emisyi Banku ziemskiego, to między innemi przyczyną tego jest — nafta galicyjska. Myśmy już wówczas zwracali uwagę na to, że pieniądz ten należał się Bankowi ziemskiemu, tj. ratowaniu ziemi polskiej. Interes finansowy przy parcelowaniu wsi nabytych przez Bank ziemski w każdym razie nie przedstawiał gorszych zysków od nafty rymanowskiej. Żeby między tą naftą, a ratowaniem ziemi polskiej zorganizowanem w Banku ziemskim miał się kiedyś wykazać jakiś ściślejszy związek, o takiej — drobnostce nikt u nas nie myślał i nie myśli.

Powiedzmy sobie przynajmniej to jedno, że na polu finansowych przedsięwzięć prowadzimy często — gospodarstwo rabunkowe. Nafta rymanowska zrabowała społeczeństwu pół miliona i dziś właśnie o te pół miliona tak trudno dla Banku ziemskiego.

Obok tych dwóch kół zamożniejszego mieszczaństwa, któreśmy wyżej scharakteryzowali, mamy jeszcze całą masę ludzi uczciwie myślących, u których znalazłoby się trochę grosza na instytucye publiczne. W tych kołach trzymają się instynktem zasady, wypowiedzianej w „Przeglądzie Poznańskim“, że na akcye publiczne należy dać tylko ten pieniądz, którego w własnem gospodarstwie nie będziemy potrzebować. Koła te patrzą na owoce naszych przedsięwzięć finansowych, a owoce te nie budzą w nich wielkiej wiary, ani wielkiego zaufania. Nasze instytucye finansowe nie potrafią też wychowywać — że się tak wyrazimy — cnót obywatelskich w publiczności.

* * *

Uwagi wypowiedziane w poprzednim numerze „Przeglądu“ z powodu tłumienia osobistej inicyatywy w różnych zakresach zawodowego życia i sprowadzania wszystkich działań do jakichś powag lub centr, powtórzył „Orędownik“ w Nr. 289, zwracając z swej strony uwagę na ich słuszność i doniosłość. Artykuł „Orędownika“ kończy się w słowach następujących

„Piszemy o tem, żeby Czytelnikom naszym zwrócić uwagę na potęgę osobistej inicyatywy w świeckich sprawach narodowych, bo ona jest rzeczywistą sprężyną życia. Ta siła jest dziś u nas spętana, a wszystko nagli, żeby te pęta rozwiązać, a jak nie inaczej, to rozkuć. Niech życie między nami wszędzie tryska, im liczniej, tem lepiej dla naszej narodowości. Łatwiej nam się będzie przy tem organizować i to nie będzie także przeszkodą, żeby obywatelom długoletniej pracy wytrwałej, rzeczywistym zasługom i powagom oddać uznanie i cześć, jaka im się należy“.

* * *

Ksiądz Piotr.

Szkic

przez **Kazimierza Tetmajera.**

(Rzecz, nagrodzona pierwszą nagrodą na konkursi literackim „Czasu“.)

(Dokończenie.)

— A czyś to nie próbował?

— A Pombók?

— A Pan Bóg jest też dobry.

— Jesce lepsejscy?

— Nie, jednako, jednako.

— A wielki je Pombók?

— Taki, jak i Pan Jezus.

— Jegomość!

— A co?

Pani gospodyni kozeli pedzieć i prosi, coby jegomość śli.

— Dobrze, dobrze, chodźmy.

— No, to pódźcie. Dojcie renke. Pomalućku, boście starzy.

— I Ignaś brał za rękę księdza Piotra i szli razem ścieżką ku plebanii, rozmawiawiając po drodze dużo i seryo.

Zajęty służbą Bożą i ludzką, a zajęty bardzo ciężko, — ksiądz wikary bowiem, studyujący dniami i nocami dzieła teologiczne, małą był mu wyręką, — nie miał ksiądz Piotr wiele czasu myśleć o śmierci, tem bardziej, iż zawsze zapowiadał, że od setki ani dnia Panu Bogu nie opuści. Ale pewnego jesiennego wieczora, kiedy słońce zaszło, ostatnie fioletowe plamy kładąc na ciemnem niebie, ksiądz Piotr, który długo przedtem siedział w milczeniu na ganku od ogrodu, zdając się drzemać, zwrócił nagle głowę ku siedzącemu nap zeciw organiście i rzekł poważniejszym niż zazwyczaj głosem:

— Panie Dzięgielewski mnie się zdaje, że trzeba iść.

— A dokąd, że śmiem zapytać?

— Dalej, niż ztąd do kancelaryi parafialnej. Tam... i pokazał ku bielącemu się opodal murowi cmentarnemu.

Dzięgielewski żachnął się:

— A co też ksiądz kanonik dobrodziej wygaduje. Po prawdzie, żeby powiedzieć, to nawet nie przystoi, pfe! Jeszcze można w złą godzinę.

— No, zobaczysz, panie Dzięgielewski, organisto kłoniecki, że mnie już trzeba iść. Już czas, już i tę trzynastkę Panu Bogu odstąpić muszę.

— O, o! Wolałby jegomość nawet nie wymawiać takich przykrości.

— E, już i czas. Spowiadałem się właśnie dziś rano, jakby umyślnie. I komunię przyjąłem. Gotów jestem. Po księdza wikarego też jeszcze posłać można będzie, ale przeprosić go pięknie, bo pewnie nad „Summą teologiczną“, albo „Naśladowaniem Chrystusa“ będzie siedział. Takich kanonikami robić, nie mnie, starego bajdę.

Od pól szły przez ogród chłodne i zwiędłe wonie jesienne i słychać było cichy, jednostajny szum wiatru.

— Panie Dzięgielewski — ozwał się staruszek.

— Słucham księdza kanonika dobrodzieja.

— Słuchaj waść, ale nie mnie, tylko świata. Słyszysz, jaki to szum? Wydaje mi się, że słyszę obrót całej tej wielkiej maszyny, której Bóg jest budowniczym i maszynistą wiecznym, Kręcą się na osiach planety i słońca, wszystko idzie po swoich drogach i szumi. Cały świat szumi. A On budowniczy i maszynista wieczny słucha i raduje się. Pomyśl tylko, panie organisto kłonicki, Mateuszu Tymoteuszu Dzięgielewski, herbu cykorya, jaki to ogromny i cudowny szum być musi! Ty myślisz, że jak wiatrak Kuby Michałowego z Zardzawicy, a to jak tysiąc, milion takich wiatraków. Ho! ho! Jak wszystkie fale Atlantyku i wszystkie wichry Sahary razem wzięte. Słuchaj tylko...

— Słucham księże kanoniku.

— Słyszysz?

— Słyszę, jak wiatr w ogrodzie szuści

Warszawski tygodnik „Głos" (Nr. 11) zamieszcza następujące uwagi z powodu sojuszu Polaków z niemieckiem stronnictwem centrum:

„Powtarzamy, że w danych warunkach sojusz ten był koniecznym, pożądanym i korzystnym. Warunki się zmieniły, ale i dzisiaj nawet niema żadnej potrzeby zrywać łączności z centrum, a tymbardziej występować przeciw kościołowi katolickiemu. Powinni tylko politycy polscy w Prusiech pamiętać, że stronnictwo katolickie jest zarazem stronnictwem niemieckiem i że wspólne z niem działanie musi mieć zakres bardzo ograniczony. Sprawy szląskie mogą w blizkiej przyszłości przyjaźń tę na próbę poważną wystawić i tak poplątać nici, łączące dwa stronnictwa, że wypadnie je zerwać lub rozciąć. Kiedy stosunek przyjazny zaczyna chłodnąć, najlepiej wzajemne zobowiązania zawczasu zlikwidować i przyjąć tak obojętny tryb postępowania, któryby zatargom pomiędzy stronami zapobiegał, gdyż niema zaciętszych wrogów, jak zwaśnieni sojusznicy.

Lojalnego sprzymierzeńca należy przy zdarzonej sposobności uczcić szczerze i życzliwie, bo na to ze wszechmiar zasłużył. Ale ani pamięć o wspólnych walkach, ani uczucie wdzięczności nie mogą być podstawą sądów politycznych, a tymbardziej działalności politycznej".

LITERATURA I SZTUKA.

Dochody artystów i ceny dzieł sztuki.

(Ciąg dalszy).

Artysta, tworząc obraz, gra w loteryę. Koszta na stworzenie jego ponosi na pewno, czy jednak obraz ten mu się uda, tego już nie może przewidzieć, a czy go sprzeda, to może być tylko zaledwie przypuszczalne. W tych warunkach pracując, słusznemby było, gdyby żądał za obraz sumy kilkakrotnie większej od kosztów i pracy w niego włożonej, co mogłoby ową niepewność i ryzyko zrównoważyć.

Ryzyko to powiększa się jeszcze z powodu możliwego wyczerpania się talentu, co sprawia, że artysta po namalowaniu kilku dobrych płócien, zaczyna malować coraz to gorsze i tu chwilowa nadzieja dobrobytu i sławy bezpowrotnie przepada. Takie zamieranie talentu jest powszechną regułą, wymagającą, żeby talent rozwijał się, dochodził do swego zenitu i następnie gasł, o ile temu upadkowi śmierć nieprzetnie wątku. Wyczerpanie takie talentu zwykle idzie w parze z wyczerpaniem fizycznem, czyli starzeniem się. Literaci, szczególniej sławni powieściopisarze, gdy pod starość coraz słabsze rzeczy poczynają tworzyć, które też mniej im dochodu przynoszą, ciągną jeszcze zyski z nowych edycyi dzieł, pisanych w młodości, gdy talent ich najsilniej błyszczał. Dochody te spadają nawet na spadkobierców. Artysta z chwilą, gdy obraz sprzeda, nie ma żadnej możności ciągnąć zeń dochodów, słusznie więc, że jednorazowa cena sprzedażna wyrównać to powinna.

Niestety, wszystkie te wywody są bardzo piękne i słuszne na papierze, rzeczywistość jednak nie chce się z niemi liczyć i można powiedzieć, że im bardziej jest obraz dziełem sztuki, im był kosztowniejszy dla artysty, tem mniej mu daje dochodu, a najczęściej nawet o straty przyprawia. Przeciwnie, tę mizerną równowagę budżetu, jaką artysta zdoła utrzymać, trzeba przypisać zwykle tym drobnym tuzinkowym pracom i obstalunkom, których musi się chwytać wbrew swej woli i popędom. I takie jednak roboty nie zawsze są intratne! Jako przykład podam tu zdarzenie, które miało miejsce w Paryżu, a które bynajmniej do wyjątków, ani tam, ani u nas nie należy.

Jeden z malarzy, cieszący się już pewnym rozgłosem, cztery dobre studya pejzażowe, malowane na odpowiednio spreparowanych deseczkach, za które sam płacił po 3 fr., zmuszony był, będąc w chwilowej potrzebie, sprzedać razem z malowidłami, ryczałtowo za 10 fr., to jest o 2 fr. taniej, niż go same deski kosztowały!...

W akademii monachijskiej nie jest żadną nadzwyczajnością, gdy student, malując przez miesiąc wielkie studyum, oddaje je potem za takiej samej wielkości czysty blejtram, który mu jest do następnego studyum potrzebny.

Żeby jednak pocieszyć naszą polską publiczność, przytoczę im fakta, które dowiodą, że nietylko w naszym biednym kraju trudno artystom koniec z końcem związać.

Zdawałoby się, że artysta, od którego, dajmy na to, rząd francuzki nabywa dzieło do jednego z muzeów narodowych i płaci tysiącami franków, że artysta ten po za szczytem, jaki go spotyka, robi jeszcze wspaniały interes. Niestety, tak nie jest i powtarza się to samo co u nas, że gdyby nie drobniejsze prace, mniejsze obstalunki od zwykłej publiczności, to artysta musiałby bez butów za ten zaszczyt dziękować. Różnica tylko stosunków w porównaniu z naszemi jest ta, że tam wielkie dzieła, choć ze stratą, ale sprzedają artyści, gdy u nas nawet tej nadziei nie mają, i następnie, że mniejsze prace o wiele lepiej publiczność płaci, niż nasza, i że jakieś pięć lub sześć tysięcy marek za obraz nie jest tam ceną wygórowaną, któraby prywatnego nabywcę miała odstraszyć. U nas tymczasem kartka z ceną kilku set, przyczepiona do większego obrazu, już czyni, że obraz wraca do pracowni artysty. Trudno, nie cała wina spada na naszych wielbicieli piękna, boć i oni koniec z końcem związywać muszą.

Tymczasem z tych danych, jakie mam pod ręką, postaram się podać czytelnikom co ciekawsze.

Na wstępie muszę objaśnić, że w Paryżu nie ma stałych wystaw sztuki[1]). Ów „Salon", (a obecnie dwa), otwiera nam swe podwoje co rok na dwa tylko miesiące. Artyści przez rok cały, a czasem i dłużej pracujący nad wykończeniem swych dzieł, spieszą się aby je na termin do Salonu dostarczyć. Odpowiednie komisye dzieła te klasyfikują i mnóstwo odrzuciwszy, jakąś trzecią, lub czwartą część zatrzymują, a i tak zapełniają tą cząstką obrazów blizko trzydzieści wielkich sal malarstwa na I-em piętrze, a na parterze ogromną przestrzeń ogrodu zimowego mnóstwem rzeźb, tak że katalog zawiera około 4000 wystawionych dzieł sztuki. Co rok figuruje w budżecie państwa pewna suma na zakup wybitnych dzieł do zbiorów narodowych i zakupy te czynione są z prac wystawionych w „Salonie". Pewną sumę na ten cel przeznacza również i miasto Paryż. Istnieje też stowarzyszenie przyjaciół sztuki, które zakupuje bardzo wiele, aby po-

[1]) Nie liczę tu naturalnie muzeów, gdzie zgromadzone przez rząd obrazy i rzeźby całe lat dziesiątki wiszą bez przerwy.

— A tego szumu świata, tej maszyny ogromnej nie słyszysz?

Nie, z przeproszeniem księdza kanonika dobrodzieja.

Ksiądz Piotr pomilczał chwilę, a potem znowu zaczął mówić:

— Odsuń, mości organisto, tę szybę od północy. Niech jak najwięcej zapachu z pola wejdzie. Tam, jak tam... może być, jeśli Bóg miłościwy, i światło prześliczne i chóry anielskie i wonie rajskie mogą być i wszelki cud, ale przecież kłonickich pól nie będzie, nie będzie tego zapachu z mego parafialnego ogrodu. . Wieczność jest długa, ale i pięćdziesięciu lat też pies nie przeskoczy. . Te młode wiązy każesz podeprzeć, a żeby grusze dobrze na zimę słomą owinęli... Ho! ho! Takiego zapachu nie będzie... Mości panie Dzięgielewski, ja byłem w Ziemi Świętej i w Arabii i we włoskich pomarańczarniach, a takiego zapachu jak u mnie w Załanach dawniej, a potem tu w Kłonicach, nigdzie nie było. Panie Dzięgielewski!

— Do usług księdza kanonika.

— Czy to już miesiąc wschodzi?

— Niby.

— Jasny jest? Bo mi się źle w tamtą stronę oglądać.

— Jasny.

— To chwała Bogu. Nie chciałbym w niepogodę umierać.

— Uu, co też to ksiądz kanonik...

— Cicho, panie Dzięgielewski, organisto, cicho. Miesiąc poświeci duszy, jasnym gościńcem pójdzie. A i dobrze, jeśli z ganku. To prawie tak jakby z pola. U nas w rodzie mało kto na łóżku gasł. W polu gaśli. Dobrze, że się skończyli, bo kto wie, coby z nimi było, tak jak z innymi. Kotu na łódź szlachectwo bez szlachetności w duszy. Tak, panie Dzięgielewski.

— Słucham księdza kanonika.

— Ubierzesz mnie w nową sutannę, tę na jedwabnej podszewce, pasem jedwabnym przewiążesz, szpilką złotą z Korabiem przepiąć, buty nowe wyglansować, łańcuch kanoniczny na szyję, o dery moje wojskowe na pierś. Sygnet zostawić na palcu, niech idzie ze mną. Obsypiesz mnie kwiatami, dużo macierzanki, bo pachnie, narcyzy w głowach. I szablę moją, mości Dzięgielewski, złamać, bo jestem z rodu ostatni... Cóż to, ty buczysz, panie Dzięgielewski?

— U-u-u... bo ksiądz kanonik tylko mi serce kraje...

— Albo wiesz co, panie Dzięgielewski, szabli łamać szkoda, ale mi ją cicho, żeby ksiądz wikary nie widział, pod sutannę we fałdy włożysz. W rękach krzyż, nibym ja tylko ksiądz, ale tam pod bokiem szabla... Czujesz, jak z mego ogrodu pachnie, panie organisto?

— Czu-czuję... księże kan-n-noniku dobrodzieju...

— Testament jest tam w biurku. Wszystko w porządku. A żebyś mi ty zawsze, panie Dzięgielewski, kwiaty w doniczkach podlewał i ogrodu strzegł. Nic nie sprzedawać, nic nie wypędzać. Na wszystko fundusz jest. Na dziady i na baby, na sieroty i na kaleki, na zwierzyniec, na Marcina i na Zagraja. Wszystko ma być jak było, póki nie wymrze, albo nie wyrośnie i w świat nie pójdzie. U mnie było jedno serce dla całego świata. Sarnie bez kozy takiej prawie litości warte, co i dziecko małe. Bóg wszystko stworzył, wszystko miłuje i o wszystkiem wie. Panie Dzięgielewski!

— Co ksiądz kanonik rozkaże?

— Bułanki panu Strzemieskiemu do Topolicy posłać. Broń Boże nie sprzedawać! On im łaskawy chleb da, bo niemi ostatni Załański jeździł. Mój dziad pannie Bronisławie Strzemieskiej, będąc nieco podchmielon, srebrny imbryczek z ręki wystrzelił, a potem do nóg jej padł i ona była moją babką. Ztąd my krewniacy. Bułanki do Topolicy, siwki księdzu wikaremu na pamiątkę, bo on rad tą maścią jeździ i tych jednych się nie bał. Strzałę weźmie porucznik Kotwicz, to kawaleryjski koń. Może da Bóg, jeszcze obaj nie tej trąbki będą słuchali, co dzisiaj. Ho! ho!... Fajkę z Maryą Antoinettą i kałamarz bronzowy z Napoleonem także księdzu wikaremu. Z majątku mego będzie fundusz na zakład

tem rozlosować między swych członków, są handlujący obrazami, ludzie obracający czasem milionowemi kapitałami, którzy nabywają, aby następnie z zyskiem odprzedać, jest wreszcie wielu bogatych Francuzów i cudzoziemców, którzy nabywają dzieła sztuki, nie targując się o kilkaset franków.

Mimo to większość dzieł powraca do pracowni ich twórców, a dwukrotnie tego samego obrazu nie wolno wystawiać w Salonie. Artysta więc woli zwykle sprzedać swą pracę za jakąkolwiek cenę, niż zabierać z powrotem do pracowni obraz, mający 20 metrów kwadratowych, lub kolosalną rzeźbę, które kosztowały wiele pracy i pieniędzy. Szczególniej gdy dzieło posiada znaczne rozmiary, artysta może mieć nadzieję sprzedania go tylko rządowi do jakiego muzeum, boć o prywatnym nabywcy nie można marzyć wtedy. Rząd nie rozporządza na ten cel wielkiemi funduszami i płaci możliwie najmniej, obdarzając za to artystę zaszczytem, że dzieło jego stało się własnością narodową.

Publiczność, dowiedziawszy się, że jakiś artysta za ogromny swój obraz lub rzeźbę dostał dwadzieścia, trzydzieści, a nawet pięćdziesiąt tysięcy franków, z zazdrością spogląda na bohatera, który za kilka metrów płótna i trochę farb, albo za kilka worków gipsu i kilka brył gliny dostał sumę równającą się pensyi rocznej ministra. Nieźle każe za swą pracę płacić — myślą sobie — i nic dziwnego, że artyści mogą robić kolosalne fortuny.

Zobaczmy zblizka, o ile ten vox populi jest trafny i weźmy kilka danych, tyczących się najsławniejszych artystów francuzkich.

Malarz Roll, kilka lat temu, namalował obraz p. t. „la Femme au taureau“. Obraz był średnich rozmiarów i przedstawiał tylko dwie figury. Ażeby ostatecznie zdecydować się na układ i opracować kompozycyę, Roll zrobił ze setkę małych studyów, bądź malowanych, bądź rysowanych. Nie licząc kosztu materyałów i straty czasu i biorąc przeciętnie tylko jeden dzień modela do każdego szkicu, przy zwykłej w Paryżu cenie modeli, wynoszącej za cały dzień pozowania 10 franków, wypadnie, że jeszcze przed rozpoczęciem właściwego obrazu, same modele kosztowały Rolla najmniej 1,000 franków.

Lecz weźmy inny obraz tegoż artysty daleko większych rozmiarów, p. t. „Grève de mineurs“ (Zmowa górników). Roll przepędził najprzód 6 tygodni w Anzin, miejscowości górniczej, aby porobić mnóstwo szkiców i zapoznać się z przedmiotem. Naturalnie, że do szkiców musieli mu pozować górnicy, którym trzeba było płacić jako modelom. Powróciwszy do Paryża, zaczął szkicować właściwy obraz, posługując się modelami z profesyi, ale ci zupełnie się nie nadawali na górników z postawy, ani z wyrazu. Chcąc więc mieć prawdziwe typy, Roll pojechał powtórnie do Anzin i sprowadził sobie do Paryża całą rodzinę górników, którym dał całkowite utrzymanie i płacił za pozowanie.

Przy malowaniu obrazu p. t. „le Chantier“, Roll przez długi czas trzymał trzech czy czterech rzemieślników: kamieniarza, mularza, cieślę, jako stałych modeli, którzy mu często musieli pozować jednocześnie.

Aby mieć pojęcie, wiele kosztują same materyały, nie licząc już kosztów modeli, dość powiedzieć, że do obrazu „Le 14 Juillet“ (dzień święta republikańskiego), samo płótno kosztowało około 1000 franków, a farb wyszło za 3 do 4 tysięcy franków. Lekko licząc, obraz ten kosztował samego artystę około 30 tysięcy franków. „La Grève des mineurs“ kosztowało podobnąż sumę, a rząd kupił ją za 3 tysiące franków.

Weźmy innego artystę, Georges Bertranda, którego „la Patrie“, znajduje się w muzeum leksemburskiem. Obraz tego artysty p. t. „le Printemps qui passe“, przedstawiający kobiety galopujące konno na tle słonecznego pejzażu, kosztował artystę około 50 tysięcy franków.

(Dokończenie nastąpi).

Zdania pisarzy francuzkich o Aleksandrze Dumasie (synie).

Jak czytelnikom naszym wiadomo, w ostatnich dniach listopada zmarł nagle, po kilkodniowej chorobie, Aleksander Dumas — syn, mając lat 71. Dzienniki paryzkie, wszystkie bez wyjątku, poświęciły znaczną część swych szpalt uczczeniu literackich zasług zmarłego, oraz pomieszczeniu interwiewów, w których najwybitniejsi pisarze francuzcy wypowiedzieli o nim swe opinie. Podajemy z nich wyjątki, jako najcenniejsze i najciekawsze streszczenie roli, jaką odegrał za życia Aleksander Dumas-syn.

Juliusz Simon: Historya życia Aleksandra Dumasa-syna daje się streścić w słowach: pisał, i jako autor doszedł do wielkiego znaczenia. Nomenklatura książek i utworów scenicznych, które napisał, opowiada i starczy dla przypomnienia jego tryumfów. Mając lat siedemnaście, zaczął od pisania wierszy, a następnie starał się naśladować powieści tworzone przez swego ojca. Lecz te młodzieńcze próbki talentu nie wchodzą w rachubę prac później dokonanych. Wcześnie spostrzegł się, że nigdy nie dorówna ojcu polotem fantazyi, uczynił więc zwrot i zaczął opisywać świat, który widział, wśród którego żył, to jest świat teatru i półświat. Mając lat 24, napisał powieść: „La Dame aux Camélias“ i odrazu stał się sławnym prawie na równi z ojcem. W parę lat później przerobił tę powieść dla sceny, a wiadomo, iż powodzenie tej sztuki trwa dotychczas, pomimo że po raz pierwszy wystawioną została blizko przed pół wiekiem.

Franciszek Copée. Dziś Francya opłakuje jednego z najwybitniejszych swoich synów, a przecież tak niedawno, przed kilku dniami, tylu z nas go widziało, pełnego jeszcze zdrowia podczas uroczystości odsłonięcia pomnika Emila Augier! Narzekał co prawda, iż jest nieco osłabiony, lecz któż z nas mógł się domyślać, że widzimy go po raz ostatni! Przed laty, niejednokrotnie przeciwstawiano tych ludzi obdarzonych najświetniejszym talentem; Emila Augier uważano za rywala Aleksandra Dumasa. Słusznem też było, aby autor „Demi-monde'u“ uświetnił swą obecnością uroczystość odsłonięcia pomnika autora równie głośnej sztuki jak „Le gendre de monsieur Poirier“. Są to dwa arcydzieła, najdoskonalsze dokumenty sztuki dramatycznej, odzwierciadlające współczesne nasze społeczeństwo. Rzec można, iż Aleksander Dumas padł w pełni swego tryumfu. Obecnie bowiem, nawet te jego utwory, które na razie oburzyły znaczną część krytyki, doczekały się właściwego ocenienia i uznania. Do takich zaliczyć należy:

---

wychowawczy, a tobie, panie Dzięgielewski, przekazałem testamentem dwa buhajki, dziesięć tysięcy i jeszcze tam to i owo, a tu masz ciepłą ręką tę tabakierkę szyldkretową z rubinem, żebyś o starym księdzu pamiętał.

— Uu, uu, uu, księże kanoniku dobrodzieju!...

— A nie klękaj przedemną waść, nie całuj mię po kolanach, fe, wstyd, wszyscyśmy równi. A że ja mam więcej, to ci daję. Tak być powinno i koniec. A nie bucz tak, panie Dzięgielewski, bo ludzi pobudzisz... Narobią się dzień cały, potrzebują spać. Ja się też choć pół życia napracowałem, trza iść spać.. A tak przecież dziwnie... Niby się wie, że się ma umrzeć, a tak dziwnie... Ta jutro może już człeka nie będzie, a tu żeby choć jeden listek z lipy spadł, żeby choć jedno źdźbło trawy zawiędło... A przecież wszystko z jednego Boga wyszło, Bogiem trwa... Marność marności jest człowiek i nietylko marność... Rok, dwa, będą pamiętali, potem zapomną. Niech tam, byle Bóg miłosierny nie zapomniał... O resztę nic!

— Jak mi się też żywo przypomina, jakem to pierwszego dnia przyjazdu po alei grabowej w ogrodzie chodził... Takie były te graby, jak i dzisiaj, rozłożyste i szumiące. Lat 50, pół wieku z górą.. Nie chce mi się wierzyć, żeby ta pszenica tak samo prosto rosła, a przecież będzie... Tyle lat. Com ja tu chrzcił, com tu pochował... O, jak to jasno.

Przez liście winne, które ganek gęsto obrosły, poczęła wymykać się światłość, cicha i srebrzysta, zawisała na liściach i patrzyła w dół. Szum wiatru, poruszając liśćmi, jakoby przymykał i odchylał jej powieki. Ksiądz Piotr spoglądał jakiś czas w górę, potem głowa opadła mu ku piersi, a pan Dzięgielewski, któremu grube łzy spływały na wąsy, słyszał, jak staruszek szeptał:

— Niema co, niema co, trzeba iść. Teraz wieczór, jutro rano, ale trza... Jak to księżyc na mnie patrzy... Jakby mi jasność jaką zapowiadał niebieską. Ale kto wie.. Nigdym się niczego nie bał, com się to śmierci napatrzył w oczy, a przecież mi jakoś straszno... Boże bądź miłościw mnie grzesznemu, Boże bądź miłościw mnie grzesznemu... *Mea culpa, mea culpa, mea maxima culpa!* A i krew jest na mojej duszy...

Opuścił jeszcze niżej głowę na piersi i milczał chwilę, ale nagle podniósł ją i silnym głosem przemówił:

— Mości Dzięgielewski, jak odśpiewają *Requiescat in pace* każesz ze wszystkich moździerzy parafialnych huknąć... Pamiętam, w Olsztynce leci na mnie oficer dragoński, jak go chlasnę! Ale to było w dobrej sprawie, panie Dzięgielewski. Poprawno ten knotek w lampce przed Matką Boską Bolesną... Tak...

Poczem ksiądz Piotr przymknął powieki i począł drzemać, ale organiście się zdawało, że głowa opada staruszkowi coraz niżej i że oddycha coraz słabiej i słabiej. Trwało to czas jakiś, aż się pan Dzięgielewski zaniepokoił i miał już wstać, aby przywołać pannę Capikównę, gdy zegar uderzył dwa razy na wpół do dziesiątej i we drzwiach, wiodących z sieni do ganku, ukazał się mały Ignaś Znajda w koszulinie i płóciennych majteczkach. Podszedł on ku fotelowi księdza Piotra, i pociągnąwszy go lekko za sutannę, ozwał się:

— Jegomość! Pódźcie! Pani gospodyni kozeli pedzieć i prosi, coby jegomość szli spać. Pódźcie, dojcie renke! Pomalućku, boście starzy. Jegomość!

Ale kiedy ksiądz Piotr nie poruszył się, ani nie odpowiedział, wówczas Ignaś podniósł wielkie oczy na pana Dzięgielewskiego i spytał:

— Panie organisto! cy jegomość pomerli?

„L'ami des Femmes“ Jestem zdania, iż gdyby kto zechciał powycinać aforyzmy, anegdotki, oderwane filozoficzne poglądy i pełne dowcipu, oraz głębokości orzeczenia, których nieprzebrane bogactwo znajduje się w utwotworach Aleksandra Dumasa, zebrałaby się książka nieustępująca wartością sławnemu zbiorowi „Maksym,“ naszego starego de la Rochefoucauld. Tak, wraz ze śmiercią Aleksandra Dumasa następuje pewnego rodzaju zaćmienie na niebie literatury dramatycznej. Był on najpotężniejszym z pomiędzy współczesnych autorów piszących dla teatru. Pogardzał on drobnemi sposobikami, jakich używają tak chętnie inni jego koledzy. Akcya w jego utworach toczy się żwawo, monologi są pełne ognia i rąbią jak mieczem, a dyalogi błyszczą dowcipem i zręcznością wspartą na logice. Wywołane przez niego postaci żyją, stają się typami charakterów, jakie autor chciał zarysować. Aleksander Dumas jest nietylko malarzem obyczajów współczesnych, lecz zarazem szermierzem stającym w obronie takiej lub innej tezy, będącej zawsze palącej doniosłości. Większość jego utworów przejdzie do potomności, zapewniając mu istną nieśmiertelność w dziejach literatury francuzkiej. Lecz jakże okrutną śmierć dla nas się okazała w przeciągu dwóch lat ostatnich! Któż zajmie miejsca opuszczone przez takich ludzi, jak: Taine, Renan, Leconte de Lisle, Pasteur, Aleksander Dumas?! Młodzieży! dość już bawienia się w dyletantyzm, w zamglone rojenia, w czczą muzykę słowa. Do pracy, do szeregu! Podtrzymajcie chorągiew, by Francya zawsze przodować mogła w świecie idei!...

Alfons Daudet. Osobiście nie często zdarzało mi się spotkać z Aleksandrem Dumasem, a zwłaszcza mało go znam jako człowieka. Przypominam sobie, że podczas obiadów u wspólnego naszego przyjaciela Labiche'a, sadzano nas obok siebie, bo działaliśmy na siebie podniecająco, zebrani bawili się iskrami naszego humoru. Lecz jakże to drobiazgowe, nic nie znaczące wobec dramatu śmierci! Dumas, Augier — te dwie jasne pochodnie literatury dramatycznej zgasły na zawsze!... Dumas wywierał na mnie szczególniejsze wrażenie człowieka zawsze gotowego do walki na słowa. Ilekroć go spotkałem, natychmiast ogarniał mnie zapał do dysputy z tym świetnym dyalektykiem, którego poglądy były antypodami moich. Naprzykład podnietą dla mnie do walki z nim, była jego nienawiść względem Goethego. Nigdy nie mogłem zrozumieć, jakim sposobem mógł on zaprzeczać genialności Goethemu?... Również niezrozumiałym dla mnie był jego pogląd na stosunki rodzinne. Ja, bardzo może po parafiańsku, lecz nadewszystko miłuję dom i rodzinne ognisko domowe. On zaś był wyzwolony z tej ciasnoty pojęć i to mnie w nim raziło. Był on pod tym względem czystej krwi Paryżaninem. Przypominam sobie, że kiedyś ostrą miałem utarczkę z Gambettą z powodu Aleksandra Dumasa. Gambetta miał urazę do Dumasa, że ten go nazwał „un Gaudissart politique“[1]) Dowodziłem Gambecie, iż powinien stać wyżej po nad obrazę za taki przydomek. Był czas pewien w mojem życiu, że dość często spotykałem Dumasa w różnych salonach. Otóż zauważyłem, że miał manię próbowania tam efektów czwartego aktu swoich sztuk dramatycznych. Opowiadał jako o fakcie z życia treść utworu, który pisał. Pani X. znajdowała się oto w takiem położeniu. Wtedy pytał: „Cóż państwo o tem sądzicie? Jakie będą tego skutki? I czekał, czy może wśród danych odpowiedzi nie znajdzie się jaka nowa myśl, mogąca mu podsunąć kombinacyę, jakiej szukał...

Emil Zola. Nie podobna w kilkunastu zaimprowizowanych słowach określić wybitne stanowisko, jakie Aleksander Dumas zajmuje w współczesnej literaturze francuskiej. Na dziś więc powstrzymuję się od wydania mej opinii w tym względzie, lękając się wygłoszenia sądu bez należnej rozwagi. Natomiast rzec o nim coś mogę jako o człowieku. Są to moje czysto osobiste wspomnienia. Przed paru dziesiątkami lat, będąc jeszcze młodym, wystąpiłem z całą seryą artykułów ostro rąbiących tych i innych starszych odemnie pisarzów. Była to z mojej strony napastnicza walka przeciwko manierze literackiej, ujętej w karby reguł. Między krytykowanymi przezemnie autorami był także Aleksander Dumas. Otóż zdarzyło się, że gdy postawiłem po raz pierwszy moją kandydaturę w Akademii francuzkiej, pomiędzy nielicznymi głosami za mną był i pozostał zawsze Aleksandra Dumasa. Przy spotkaniu zaś, w kółku wspólnych znajomych, człowiek ten, wprost przeciwnych ze mną dążności literackich, rzekł do mnie ze szczerą życzliwością: „Miałeś pan racyę napisać o mnie to, co napisałeś, bo był to wyraz pańskich przekonań, a proszę wierzyć, że otwarcie się zaliczam do wielbicieli dzieł, które pan tworzysz“.

Juliusz Claretie. Wszyscy my piszący jesteśmy synami Wiktora Hugo pod względem stylu, synami Balzaca jako powieściopisarza, a synami Aleksandra Dumasa jako autorowie dramatyczni. Nie wiem, co sądzi o Aleksandrze Dumasie młode pokolenie pisarzów francuzkich, lecz dla moich rówieśników był on i pozostanie nauczycielem i mistrzem. Augier jest ostatnim naszych klasyków w teatrze, a Dumas jest naczelnym wodzem następującego potem zwrotu. Jego dramat: „La Dame aux Camelias“ równe ma znaczenie w literaturze z „Cydem“ Corneille'a. Każdy z tych utworów oznacza datę w historyi naszej literatury. Nieodżałowaną pozostanie szkodą, iż nie zdołał wykończyć ostatniego swego dramatu: „La Route de Thebes“. Jeszcze niedawno, przed kilku tygodniami, mówił mi: „Gdybym umiał pracować z dawniejszą moją energią, wykończyłbym „La Route de Thébes“ w jakie dni cztery, lecz nie wiem, kiedy je znajdę“. Rad jestem, że doczekał się zwrotu opinii publicznej względem „L'Ami des Femmes“. Ciesząc się powodzeniem, jakiego doznała ta sztuka niedawno wznowiona w teatrze „Comedie française“, rzekł do mnie: „Gdyby nie to dzisiejsze przedstawienie, ogół publiczności byłby zawsze sądził, że „l'Ami des Femmes“ jest sztuką bez najmniejszej wartości“.

Pani Doche (była artystka dramatyczna, która podczas pierwszego przedstawienia sztuki „La Dame aux Camélias“ występowała w roli Małgorzaty Gautier). Tak, to ja stworzyłam rolę Małgorzaty Gautier! I dumną jestem, że moje nazwisko jest złączone z tą pamiętną datą w historyi teatru! Ta rola damy kameliowej jest najświetniejszem wspomnieniem mojej karyery artystycznej. Rok 1852 jest rokiem dla mnie pamiętnym i był takimże dla Aleksandra Dumasa, bo równocześnie pozyskaliśmy sławę: on jako autor, ja jako artystka! Tyle lat od naszego tryumfu minęło, a corocznie w dniu owym pa-

[1]) Gaudissart, typ commis-voyageura; w popularnem znaczeniu „gaudissart“ jest to człowiek wygadany, pyszałkowaty, blagier, paliwoda

---

K. ROJAN.

W ŚWIAT.

(Ciąg dalszy.)

Gdy więc Franek skończył bardzo dobrze czwartą klasę, poszła matka Smolarzowa do księdza proboszcza po radę; a że to „ślachcianką“ z domu była, więc jęła szeroko rozprawiać, że Franka trzeba koniecznie na większego wyprowadzić człowieka; oczywiście, że największym dla niej człowiekiem na świecie był sam jegomość.

Proboszcz, wytłómaczył gadatliwej kobiecie, że lepiej uczyni, jeżeli o tem myśleć przestanie; opowiedział szczegółowo ile to nauki potrzeba nim się sutanny człowiek doczeka, ile zachodu i kosztów ze strony rodziców — wreszcie doradzał, aby chłopaka oddała do rzemiosła.

Ale jakież rzemiosło znaleźć można we wsi? jest tu kowal, stelmach i koniec na tem.

— Więc niechaj będzie kowalem — zgodziła się Smolarzowa z westchnieniem.

Franek jak pilnym i pojętnym był uczniem w szkole, tak też gorliwym i sumiennym okazał się pracownikiem przy kowadle. Do trzech lat nietylko, że umiał równo dać miechem i obracać wielkie szczypce z rozrzażonem żelazem w takt uderzeń majstra, ale też sam to i owo ukuł już tak sprytnie, a równo i bez skazy, że mu niektórzy włościanie poczęli doradzać, żeby własną otworzył kuźnię. Miał wówczas rok szesnasty, więc za młodym był jeszcze na samoistnego kowala i nie posiadał pieniędzy na zakupno narzędzi. A przy tem wszystkiem ciągnęło go coś bardzo do dalszej nauki w rzemiośle i do zwiedzenia świata.

Raz więc powiada do matki:

— Mamo, przecie ja pójdę do innego majstra na naukę. Gdzieś inni ludzie robią noże, zamki, kłódki, a ja nic tego nie potrafię...

A gdzieżby ty synku chciał pójść?

— A no, pojdę do Kołczanowa. Tam jest ten sławny majster, co kuje wózki węgierskie. Ej, żeby mama wiedziała, co to za ładna przy tych wózkach robota! już ja się dobrze przypatrzył.

— Ta aż do Kołczanowa chcesz iść..... w taki świat daleki... przecież to więcej niż trzy mile ztąd!

— Co mi tam trzy mile! Przejdziesz Zapłotek, wyleziesz na górkę do świętego Andrzeja, potem do Kozowej, potem prościutko do Kwaśnej, potem dojdziesz na drogę, gdzie są dwie lipy, a potem... ot i Kołczanow już widać. Taki doprawdy, że pójdę.

Jak postanowił tak zrobił. Związał rzeczy w kraciastą chustę, zutknął tobołek na laskę, wpakował pieczoną kurę i srebrnego guldena do torby i poszedł. Wedle opowiedzianego matce planu, pominąwszy Zapłotek wylazł na górę do świętego Andrzeja, ztamtąd zbiegł do Kozowej, ztąd znowu do Kwaśnej, pod dwiema lipami zjadł pieczoną kurę, przed samą rogatką Kołczanowską zgubił torbę z guldenem, ale ostatecznie rozpytując ludzi po drodze, dobił szczęśliwie do pracowni majstra Borajskiego i tu w drzwi otwarte na oścież wetknął nieśmiało głowę.

Podówczas właśnie wózki węgierskie wchodziły w modę i pan Kajetan potrzebował więcej pracowników w warsztacie, gdy więc zauważył wędrownego chłopca i przekonał się, że zna się na rzeczy, przyjął go bez długiego namysłu i w dwa tygodnie potem, po odbyciu próby, wyznaczył mu za robotę bardzo dobre wynagrodzenie, bo aż dwanaście guldenów miesięcznie.

O takiem szczęściu Franek prawie nigdy nie marzył.

Odtąd pracował bardzo gorliwie u pa-

miętnym wymienialiśmy z sobą listy wzajemnej wdzięczności. Pomimo tę łączność, mało znałam Aleksandra Dumasa. Czy był wyjątkowo dobrym człowiekiem?... Czy też podobnym do tylu innych? — Nie wiem. Wiem tylko, że w r. 1852 byłam bardzo wysmukłą, wątłą, przezroczystą, tak iż Juliusz Janin, widząc mnie na scenie, rzekł do kilku znajomych: „Lękam się, czy panna Doche dożyje setnego przedstawienia!“ Na co Aleksander Dumas odparł wesoło: „Nie mogłoby być świetniejszej reklamy!“ Przepowiednia Juliusza Janina jeszcze się nie ziściła, a w roli Małgorzaty Gautier wystąpiłam w Paryżu i na prowincyi 617 razy!

J...z.

HENRYK WADSWORTH LONGFELLOW.

Ustęp z „Pieśni o Hiawacie.“ *)

X.

Zaloty Hiawaty.

„Czem cięciwa jest dla łuku,
Tem niewiasta dla mężczyzny:
Choć go gnie, posłuszna jemu,
Choć go ściąga, idzie za nim.
Rozdzieleni nic nie znaczą!“
Tak to młody Hiawata
Mówił sobie w głębi duszy,
Sprzecznych uczuć miotan falą,
To nadzieją to znów trwogą,
Marząc wciąż o Minnehasze,

*) Longfellow, jeden z największych poetów amerykańskich, autor „Ewangeliny“ i „Złotej legendy“ przenosi nas w swej „Pieśni o Hiawacie“ w całkiem odrębny nie wyzyskany przedtem poetycznie świat Indyan amerykańskich. Według intencyi autora miał poemat ten być niejako indyjską Eddą, odbija bowiem w sobie całą samorodną mitologią pierwobylców Ameryki Północnej. Poemat ten daje zarazem obraz rodzinnego i społecznego życia starych plemion indyjskich. „Pieśń o Hiawacie“ — mówi Longfellow — opiera się na tradycyi przechowanej u Indyan północnej Ameryki o mężu cudownego pochodzenia, który im został zesłanym, aby oczyścić rzeki, lasy i jeziora rybne, i aby ich nauczyć sztuk pokoju. Znano go u różnych szczepów pod różnemi nazwami.

O czarownej Śpiewnej-fali
Wśród krainy Dakotahów.

„Wybierz dziewczę z swego ludu!“
Ostrzegała Nokomida,
„Nie chodź na wschód, ni na zachód
Szukać pięknej cudzoziemki.
Jako płomień na ognisku
Jest sąsiada córa skromna,
Zaś jak zimny blask miesiąca
Najpiękniejsza z cudzoziemek!“

Tak odradza cna Nokomis,
Ale na to Hiawata
Rzekł jej: „Droga Nokomido,
Miły płomień jest ogniska,
Lecz ja wolę światło gwiazdy,
Wolę srebrny blask miesiąca!“

Więc znów rzecze stara babka:
„Lecz dziewczyny nie bierz gnuśnej,
Nie sprowadzaj w dom próżniaczki,
Rąk niewprawnych, nóg nieskorych;
Pojmij żonę hyżopalcą,
Której serce z ręką w zgodzie
Której stopa żartka w biegu.“

Lecz z uśmiechem wnuk jej odrzekł:
„Wśród krainy Dakotahów
Kwitnie córa strzał snycerza,
Minnehaha, *Śpiewna-fala*,
Najkraśniejsza z wszystkich dziewic.
Tę przywiodę tobie w *wigwam!*
Ona chętną będzie tobie,
Będzie gwiazdą i ogniskiem,
A dla ludu mego słońcem!“

Babka jeszcze tak odradza:
„Oj, nie przywódź w dom mój obcej
Aż z krainy Dakotahów!
Bo to dzikie pokolenie
Często z nami boje stacza:
Jeszcze stare mamy spory,
A czas krwawych ran nie zgoił!“

Lecz z uśmiechem wnuk jej odrzekł:
„Z tej przyczyny, a nie z innej
Pojąć córę chcę tej ziemi,
By pojednać stare rody,
By ustały stare waśnie,
By zabliźnić dawne rany.“

Potem ruszył Hiawata
Do krainy Dakotahów,
Do krainy pięknych dziewcząt,
Pędząc poprzez bagna, łąki,
Przez dziewicze lasy, knieje
I zaciszne uroczyska.

A w zaklętych swych chodakach
Zbiegał milę w każdym kroku,
Długo jednak trwała podróż,
Iż wyprzedzał sercem kroki:
I tak biegł wciąż bez spoczynku,
Aż usłyszał szmer kaskady,
Co go zdał się wołać z dala.
„Cudny szmer to!“ szepnął sobie,
„Cudny szelest co mnie wabi!“

Tuż na samym skraju lasu
Pół na słońcu, pół zaś w cieniu
Żerowały ciche łanie;
On zaś szepnął: „Łuku nie chyb!“
Strzale rzekł zaś: „Leć mi prosto!“
Wraz też puścił śpiewną strzałę
I jelenia trafił w serce.
Zarzuciwszy łup na plecy,
Pędził dalej bez spoczynku.

Przede drzwiami swojej chaty
Strzał sędziwy siedział snycerz,
W leśnym kraju Dakotahów,
Rzeźbiąc ostre strzał nagłówki,
To z jaspisów to z krzemieni.
Obok niego tuż siedziała
W pełni krasy Minnehaha
Córa jego *Śpiewna-fala*,
Z trzcin rogoże plotąc pilnie.
Starzec dumał o przeszłości
O przyszłości krasna dziewa.

Dumał starzec o dniach dawnych,
O dniach, w których sam strzałami
Kładł jelenie i bawoły
Na pachnącej łące kwietnej,
W których strzelał dzikie gęsi,
Gdy leciały na południe,
Gdy leciały z wielkim krzykiem;
Dumał też o bojach dawnych,
Kiedy strzały kupowano
Nieodzowne w każdej walce.
Ach! tak dzielnych wojowników —
Westchnął — nie ma już na świecie.
Dziś mężowie jak niewiasty,
Bo za broń im starczy język.

Dziewczę marzy o myśliwcu
Z innej strony, z innej ziemi,
Młodym, smagłym, urodziwym,
Co raz w wiośnie przybył rankiem
Kupić ostrych strzał od ojca,
Który spoczął dzień w *wigwamie*

---

na Kajetana Borajskiego, oszczędzał i odsyłał pieniądze do Zapłotka i nawet nie pragnął lepszej doli...

Tak, nie pragnął jej, — ale było to przed sześciu laty.

Obecnie liczył Franciszek Smolarz lat dwadzieścia i dwa i nie był zgoła podobnym do dawnego Franka. Wystrzelił w górę jak prosty a gładki świerk z Zapłotka. Chudy był przytem, wąski w piersiach, ale siłę miał w wyrobionych ścięgniach niebywałą. Pozornie wydawało się, że cienki i giętki jak trzcina chłopak nie uniesie większego młota w obu dłoniach, — on kierował nim swobodnie jedną ręką, gdyby piórem.

Twarz miał Smolarz chudą, muskularną, śniadą, czy też zczerniałą od dymu i pyłu węglanego, lśniącą połyskiem wygładzonego pergaminu. Głowę jego otaczał włos gęsty, czarny, z lekka pogięty w kędziory. A czarne wielkie oczy błyszczały jak zarzewia.

Podobnie jak zewnętrzna postać Franciszka zmieniła się z lat biegiem, tak i wewnętrzna strona jego znacznej uległa odmianie.

Dziś był już poważną siłą w swym zawodzie, prawą ręką w pracowni Borajskiego, a w jego domu przyjacielem, ledwie że nie synem lub młodszym bratem. Posiadał on mir między czeladnikami, miał przyjaciół i znajomych w mieście, odziany starannie i przyzwoicie, chodził do kościoła i na wieczorki do „Gwiazdy“, siostrę posyłał do szkoły wydziałowej, czytywał nieraz wieczorami książki pożyczone u panny Loli — zresztą kując lub piłując, przemyśliwał nieraz godzinami.

Wogóle rozwijał się umysłowo, nie starając się o to, ani nie pracując nad sobą wedle z góry ułożonego planu. Natura refleksyjna i pochwytny umysł były mu nauczycielami. Usłyszawszy jakie zdanie lub przeczytawszy coś ciekawego w książce, dotąd nad tem przemyśliwał, dopóki nie uznał, że rzecz rozumie dostatecznie.

Przy tem będąc małomównym, nie lubił się nikogo o nic pytać, poczytując ten rodzaj nabywania wiadomości za coś ubliżającego godności człowieka. Oczywiście, że była to przesadna ambicya, drażliwość, wiodąca często na bezdroża — lecz on wolał wśród rozmyślań dojść do błędnego wyniku i wynik ten przyjąć za pewnik, byle on był jego własnym dziełem przez niego samego stworzonem.

Miał przecież jedną duszę ludzką, przed którą chętnie otwierał swe myśli i dzielił się wrażeniami. Tym wybrańcem był Staszek Łasiecki, pierwsza osobistość, krórą poznał za przybyciem do Kołczanowa.

Pobudkę do nawiązania przyjacielskich stosunków dał zegarek, wielka stara „cebula“ Łasieckiego, którą Smolarz mimo, że nie znał się na mechaniźmie zegarków, naprawił koledze z „Gwiazdy“ bezpłatnie, a naprawił tak dobrze, że i zawodowy zegarmistrz lepiejby tego nie uczynił.

Łasiecki, zabawna postać, o ptasim raczej dziobie niżli ludzkiej twarzy, mimo jąkania się złoty miał humor, trącący nieraz rubaszną satyrą. Polubił on Smolarza nietylko dla jego biegłości w kunszcie zegarmistrzowskim, ale także i dla tego, że mógł wygadać się przed nim do woli, będąc pewnym, że Smolarz mu nigdy zdania nie przerwie. Przytem poczciwy Franek miał także tę zaletę, że pozwolił się nicować na wszystkie strony, bez gniewu. Swoją drogą Łasiecki nie drażnił nigdy Smolarza dotkliwie, dokuczał mu jeno kiedy niekiedy po przyjacielsku, serdecznie, ot, dlatego, aby się obaj mogli pośmiać i zabawić.

Od czasu jak Smolarz, podniesiony przez Borajskiego do godności szefa pracowni, otrzymał znaczniejszą pensyą i pokoik w nowym domu, można było często wieczorami przez okno, wychodzące na ulicę, oglądać tych dwóch młodych ludzi, spędzających tym razem wieczory na pogadance i śmiechu. Smolarz z głową wspartą na dłoni, z palcami zanurzonemi w gęstą, kędzierzawą czuprynę, słuchał — Łasiecki mówił wciąż, gestykulował żywo, zrywał się często z sie-

I stał długo przede drzwiami
I wstecz patrzał przy odejściu.
Ojciec chlubnie mówił o nim,
Chwalił męztwo, mądrość jego.
Czyliż przyjdzie znów po strzały
Pod wodospad Minnehahy?
Dawno rączki opuściła,
Patrząc przed się smętnem oczkiem.

Wtem marzenia ojca, córki
Przerwał jakiś szmer w zaroślach;
Wnet z płonącem, świeżem licem,
Z swym jeleniem na ramionach,
Wyszedł z gęstwy i przed nimi
Stanął nagle Hiawata.

Zaraz strzałek siwy snycerz
Wstał poważnie od swej pracy,
Na bok złożył grot zaczęty
I poprosił gościa w wigwam
I uprzejmie rzekł do niego:
„Bądź pozdrowion, Hiawato!“

U stóp cudnej Minnehahy
Złożył brzemię Hiawata,
Złożył z ramion łup myśliwski,
A dziewica na młodziana
Wzniosła oczy od rogoży
I swym słodkim rzekła głosem:
„Bądź pozdrowion Hiawato!“

Wielce wigwam był przestronny,
Z skór jelenich białych zszyty;
Bóstwa leśnych Dakotahów
Na opończach jego lśniły,
A drzwi były tak wysokie,
Że się ledwie gość uchylił,
Ledwie wierzch ich piórem musnął,
Kiedy wchodził do wigwamu.

Wtedy wstała *Śpiewna-fala*,
Wstała z ziemi Minnehaha,
Odłożyła na bok matę,
By przekąskę przynieść z chaty,
By zaczęć pnąć wody z zdroju,
Jadło podać w czarkach z gliny,
A w drewnianych kubkach napój.
I słuchała mowy gościa,
Mowy ojca sędziwego,
Sama zaś nie rzekła słowa
Ustek swoich nie otwarła.

I słuchała jakby we śnie
Słów wymownych Hiawaty,
Gdy im prawił o swej babce,
Co go niegdyś wyniańczyła,
Gdy powiadał o swych druhach,
O gęślarzu Czibiabie,
O Kwasynda strasznej sile,
I o szczęściu i bogactwie
W kraju cichym Odżibwejów,
W kraju cichym i rozkosznym.

„Dziś po tylu latach wojny,
Tylu latach krwi rozlewu,
Pokój łączy Odżibwejów
Z pokoleniem Dakotahów.“
Potem dodał, zwolna mówiąc:
„Iżby mir ten trwał wieczyście,
Silniej spoił nasze dłonie
I skojarzył serca nasze,
Daj mi córę za małżonkę,
Minnehahę, *Śpiewną falę*,
Perłę dziewic Dakotahskich!“

A sędziwy snycerz grotów
Dumał chwilkę, zanim odrzekł,
Puszczał siny dym w milczeniu,
Patrzał dumnie na młodzieńca,
To znów słodko na dziewicę.
A odpowiedź dał poważnie:
„Tak! gdy zechce Minnehaha,
Radź się serca twego, córko!“

A czarowna *Śpiewna-fala*
Pokraśniała jeszcze bardziej,
Ani *tak*, ni *nie* nie mówiąc,
Przystępując do młodzieńca
I siadając obok niego.
Potem rzekła, płonąc cała:
„Tak, chcę z tobą iść mój mężu.“

W taki sposób Hiawata
Pojął żonę. Tak to córkę
Sędziwego strzał snycerza
Zyskał w kraju Dakotahów!

I z wigwamu wnet wyruszył,
Wiodąc z sobą *Śpiewną-falę*,
Ręka w rękę szli przy sobie
Przez dąbrowy i przez łąki,
Zostawiając w drzwiach wigmamu
Sędziwego strzał snycerza;
Szmer słyszeli wodospadu,
Co w oddali smętnie mruczał,
I tak z gęstwy jeszcze wołał:
„Żegnaj, żegnaj Minnohaho!“

Wnet sędziwy snycerz grotów
Do swej pracy zasiadł znowu,
Siadł przed drzwiami w blasku słońca
I tak z cicha szeptał sobie:
„Tak to córy dom rzucają,
Ukochane, kochające!
Właśnie, gdy nam pomódz mogą,
Gdy podporą są w starości,
Przyjdzie młodzian z świetnem piórem,
Przyjdzie obcy z wdzięcznym fletem,
Całe sioło grą swą zwabi,
Najpiękniejszą z dziew wybierze,
A ta za nim w świat się puści
I dom rzuci dla obcego.“

Jak uroczym był ich powrót
Przez dziewicze lasy, knieje,
Przez pagórki, łąki wonno,
Przez strumyki, wzgórza, jary!
Krótkim zdał się Hiawacie,
Chociaż droga była długa,
Choć swe kroki zwalniał ciągle,
By nie zmęczyć *Śpiewnej-fali*.

Przez szerokie, szumne strugi
Na ramionach niósł dziewicę;
Jak puch lekki zdała mu się,
Jak u skroni lśniące pióra.
Wśród gęstwiny przodem kroczył,
Odginając w bok gałęzie.
Na noc szałas skleił lekki,
A z ziół usłał miękkie łoże
I przed wnijściem ogień wzniecił
Z suchych szyszek drzew świerkowych.

Rój wietrzyków w ślad za nimi
Przez las leciał i przez łąkę,
Wszystkie gwiazdy na niebiosach
Nad ich słodkim snem czuwały,
Z gniazdka swego w pniu dębowym
Wyglądała wiewióreczka
I zerkała na kochanków.

Toż i królik, mknąc w gęstwinę,
Stanął słupka przed swą norą
I źrenicą jął ciekawie
Na kochanków zerkać parę.
Jak uroczym był ich powrót!
Wszystkie ptaszki słodko, wdzięcznie
O rozkoszy, szczęściu piały.
Toż sikorka tak śpiewała:
„Tyś szczęśliwy Hiawato,
Mając taką śliczną żonkę:“
A gajówka zawodziła:
„Tyś szczęśliwa, Minnehaho,
Bo dzielnego masz małżonka“.

Z nieb błękitu jasno słonko
Przez gałęzie drzew spojrzało
I tak rzekło: „Dzieci moje!

---

dzenia, wyrzucał łokcie i pięście na boki, wykrzywiał swoją płaską, drobną twarz zabawnie... poczem obaj zwyczajnie wybuchali śmiechem.

Łasiecki był synem zubożałego kupca korzennego i w sklepie ojcowskim przez dzień pracował. Wieczorami, jeżeli nie siedział u Smolarza, to w Gwieździe rej wodził między młodzieżą. Znany też był powszechnie w mieście z tego przeważnie powodu, że świetnie urządzał amatorskie przedstawienia. A ponieważ sam jąkając się, żadnej roli objąć nie mógł, więc przynajmniej jako reżyser i sufler był zawsze czynnym i znakomicie się teatrom amatorskim przysługiwał.

Łasiecki bywał często zapraszany do Borajskich na kawę lub na kolacyę. Tu czuł się jak w domu i jego też panny wraz z panią Borajską, nie odbiegającą zbytnio od dziewcząt pojęciami i pustotą, uważały za nadwornego komika, któremu można ciosąć kołki na głowie i od którego przyjmuje się wszystko bez gniewu za dobrą monetę.

Wieczorne godziny w domu Borajskich mijały zazwyczaj bardzo wesoło. Czasem przy herbacie, gdy się żywa toczy gawędka, sprzysięgną się naraz wszyscy na biednego, milczącego Franka, jakby się przedtem z góru umówili, i poczną go róźnemi nagabywać pytaniami:

— Gdzież to pan bywał ostatniej niedzieli, panie Franciszku?

— A dla czego pan tak wąsy wyczernił węgierską pomadą?

— Kto to zdobył pańskie serce, panna czy mężatka?

— Czemu pan milczy?

— Kto miczy, ten się do winy przyznaje.

Smolarz uśmiecha się na to wszystko, spuszcza oczy i odpowiada poruszeniem ramion, dodając kiedy niekiedy zwyczajne:

— No, cóż?

Gdy go tak czasem opadną pani Borajska, Lola i przyjaciel Łasiecki, staje Anulka i pan Kajetan w jego obronie.

Lecz on każdą napaść z takim stoickim przyjmuje spokojem, iż nawet nie odczuwa wdzięczności dla tych, co w jego sprawie umysł i język trudzą — bo i poco odpowiadać na pytania, które nie są warte i łuta opiłków żelaznych.

Mimo to lubią go tu wszyscy.

Pani Borajska dla okazania mu swej przyjaźni, zaszczyca go niekiedy w zimowe wieczory trzymaniem pasemka przy zwijaniu nici na kłębek, Lola wespół z Anulką każą mu wymyślać najrozmaitsze monogramy, złożone z liter K. B. i A. S. lub nudzą, by czytał głośno książkę, naprzykład „Bladą hrabinę“, wypożyczoną w czytelni rękodzielników, przy słuchaniu której „robią się bardzo przyjemnie kobiece robótki szydełkiem albo igłą“; a nieraz też, gdy panienki się rozochocą, musi z niemi tańczyć polkę lub mazura. W takim razie gra zwykle Lola (która się uczy na fortepianie u najsławniejszego i jedynego nauczyciela muzyki w mieście Kołczanowie, pana Storcha) gdy zaś nagrawszy się sama tańczyć zapragnie, wówczas przy fortepianie zasiada Łasiecki, który nie uczył się wprawdzie grać u mistrza Storcha, ale z natury będąc obdarzony zdolnościami do wszelkiego rodzaju sztuk nadobnych, umie kilka taktów staroświeckiej polki dwoma palcami, jak niemniej potrafi wygrać połowę mazura, nawet z basem. Pani Marcysia nie odmawia również nigdy zaprosinom do tańca, a nawet się chmurzy, gdy młodzi o niej zapomną.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Miłość blaskiem, gniew jest cieniem;
Z nich obojga żywot splecion.
Ty miłością rządź, młodzianie."

Później księżyc spojrzał w szałas
I czarowne lejąc blaski,
Szepnął z cicha: „Dzieci moje!
Dzień jest znojny, noc spokojna,
Mąż gwałtowny, żona słaba;
Przez pół wygrasz, gdy ustąpisz;
Cierpliwością rządź, kobieto!

Taką była cała podróż;
Tak to przywiódł Hiawata
Do mieszkania starej babki
Blask miesięczny, żar ogniska:
Przyniósł słońce swego ludu,
Minnehahę, *Śpiewną-falę*,
Najkraśniejszą z wszystkich niewiast
W leśnym kraju Dakotahów,
Co z urodnych słynie kobiet.

Tłom. *Ludwik Mizerski.*

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Jeszcze w sprawie Banku Ziemskiego.

Z prowincyi.

Z prośbą o umieszczenie odbieramy artykuł następujący:

Po wyczerpujących artykułach zamieszczonych tak w Przeglądzie Poznańskim jak i winnych czasopismach, można niewątpliwie sprawę Banku Ziemskiego uważać za dostatecznie wyjaśnioną. Jeżeli mimo tego zabieram jeszcze głos w tej sprawie, to głównie dla tego, aby wykazać, w jakim stopniu interesowały się dotychczas sprawą Banku różne sfery naszego społeczeństwa.

Za podstawę obliczeń wziąć muszę pierwszą emisyę, gdyż druga nie jest jeszcze dotychczas zamknięta, a liczby tejże emisyi nie są jeszcze ogółowi przystępne.

Jak wiadomo na 1-szą emisyę — wynoszącą 1200 akcyi po 1000 mrk. złożyły się przeważnie dwa drugie zabory — austryacki i rosyjski. Galicya mianowicie okazała w tej sprawie głębokie zrozumienie rzeczy i gorące współczucie dla bratniej dzielnicy. Z ogólnej liczby 1200 akcyi podpisało W. Ks. Poznańskie tylko 345 akcyi. Z tej liczby na obywatelstwo wiejskie i na osoby do tej sfery należące przypada akcyi 304, na księży 16, na kupców i przemysłowców 15, na tak zwaną inteligencyą 9, wreszcie jedna akcya jest w ręku gospodarza włościańskiego.

Ze obywatelstwo wiejskie stosunkowo tak wielki wzięło udział w tem przedsiębiorstwie, było rzeczą naturalną. Mimo wielkich wyłomów, jakie marnotrawstwo, nieoględność i inne wady przez długi szereg lat poczyniły w tym zastępie, mimo przesilenia rolniczego, które od lat kilkunastu cięży na rolnictwie, są to sfery u nas najzamożniejsze i mogące łatwiej, niż inne warstwy, odkładać większe kwoty na sprawy publiczne. Chodziło tu zresztą o ziemię, o warsztat pracy i źródło dochodu tychże sfer, a prócz tego początkowo, jak wiadomo, nazywano Bank Ziemski — bankiem ratunkowym, i mniemano, zanim się pojęcia rozjaśniły, że będzie on instytucyą ratującą zachwiane osobniki. Obecnie jasnem jest, że tę funkcyę Bank Ziemski może tylko spełnić pośrednio, a że głównem jego zadaniem jest r a t o w a n i e z i e m i — i to za pomocą żywiołu ludowego.

Czy mimo owego stosunkowo wielkiego i przeważnego udziału dziedziców w subskrypcyi na pierwszą emisyę, — można powiedzieć, że te sfery spełniły swój obowiązek — w miarę swych środków? że zdobyły się na to, na co tylko zdobyć się mogły i zdobyć były powinny? Twierdzę stanowczo, że nie. S u b j u d i c e l i s e s t: czy lokacya kapitałów w akcyach Banku jest operacyą pewną czy nie. Mojem zdaniem, jest pewną, o ile rachuby ludzkie wogóle mogą mieć pretensye do pewności i nie pojmuję, dla czegoby w z a s a d z i e lokacya kapitałów w akcyach Banku Ziemskiego miała być mniej pewną, niż w listach zastawnych Ziemstwa kredytowego, kiedy w obu papierach gwarancyę stanowi ten sam objekt tj. ziemia.

Ale nie z tego tytułu twierdzę, że owe sfery nie spełniły swego obowiązku w dostatecznej mierze, bo gdzie chodzi tylko o zysk materyalny, tam każdemu musi być zostawione do woli ocenienie, co uważa za rzecz dla siebie korzystniejszą. Ta zresztą kwestya odnosi się w równej mierze do wszystkich sfer naszego społeczeństwa. Ale „od każdego, któremu wiele dano, wiele żądać będą, a któremu wiele zlecono, więcej będą chcieć od niego". Za dawnej Rzeczypospolitej — ziemia była wprawdzie „panis bene merentium", była nagrodą za oddane krajowi przysługi, ale równocześnie nakładała obowiązek, stawania na obronę kraju na pierwszem miejscu.

Schylamy czoło przed tym licznym zastępem, który w każdej potrzebie stawa w szeregu, który i w zajmującej nas tutaj sprawie spełnił swój obowiązek — ale niestety, w tem pospolitem ruszeniu zbyt wiele mamy n i e o b e c n y c h. Dawna Rzeczpospolita szlachecka, w której tętniało żywe poczucie obowiązku, nakładała p o e n a s c o n t r a a b s e n t e s e t n e g l i g e n t e s. My do tego prawa nie mamy, a chociażbyśmy je mieli, nie korzystalibyśmy z niego, bo więcej nad przymus cenimy poczucie obywatelskie. Jakże możemy udawać się po pomoc do bratnich dzielnic, kiedy sami nie wszyscy spełniliśmy nasz obowiązek? Zwracam na to uwagę, że ten fakt — jak utrudniał w drugich zaborach agitacyę przy pierwszej emisyi, — tak i przy niniejszej wielką stanowi przeszkodę, i daje broń w rękę wszystkim wahającym się. Nie należę atoli do pesymistów i mam otuchę, że próżnie i braki, które się uwydatniły przy pierwszej emisyi, zapełnione będą przy drugiej.

Zachodziłoby tylko jeszcze pytanie, czy nie apeluję do niemożności. — N o m i n a s u n t o d i o s a — ale ktoby miał wątpliwość pod tym względem, niechaj weźmie do ręki spis akcyonaryuszów i niechaj się sam przekona, czy wszyscy są w szeregu, czy nie mamy znacznego zastępu a b s e n t e s e t n e g l i g e n t e s, którzyby bez uszczerbku swych własnych uprawnionych interesów mogli zapewnić powodzenie drugiej emisyi akcyi.

Druga kategorya akcyonaryuszów — duchowieństwo — przedstawia się mniej korzystnie. Szesnastu na kilkaset księży — to liczba trochę za mała. Słusznie już zwrócono uwagę na to, że każda osada Banku Ziemskiego, to twierdza nietylko narodowości ale i katolicyzmu, a każda nieomal parcelacya Komisyi kolonizacyjnej to wyłom w tej twierdzy. Nie tylko więc ze względu na stosunki ekonomiczne i narodowościowe, ale i ze względu na stosunki kościelne powinni księża popierać działalność naszą parcelacyjną.

Przechodząc do kupców i przemysłowców, uważamy to za pocieszający objaw, że już w pierwszej emisyi sfery te reprezentowane są 15 akcyami. Jak rolnictwo z obecnem przesileniem rólniczem, tak handel i przemysł nasz ma ciężką walkę z przewagą konkurencyi żydowskiej w handlu, a ogólno-niemieckiej w przemyśle. Ta gałąź gospodarstwa narodowego jest u nas w pierwszych stadyach rozwoju, — potrzebuje sama kapitału na własne rozwinięcie się. — nic więc dziwnego, że w subskrypcyi na Bank ziemski nie mogła zbyt pokaźnie wystąpić. Akcye Banku Ziemskiego nie mają kursu na giełdzie, znaczniejszy więc udział w subskrypcyi byłby unieruchomieniem kapitału, którego przemysł i handel nasz nie mają dotychczas zbytniego. Z drugiej jednakże strony zwrócić należy uwagę na ścisły węzeł, jaki — a mianowicie w naszych stosunkach — łączy przemysł i handel z rolnictwem. Każdy ubytek ziemi z rąk polskich jest stratą dla naszego przemysłu i handlu, gdy na odwrót szeroko przeprowadzona parcelacya byłaby błogosławieństwem dla handlu i przemysłu, zwłaszcza drobnego. Z tego powodu parcelacya winna wśród kół przemysłowych i handlowych znaleźć najgoretsze poparcie, czy to w miarę możności przez branie udziału w subskrypcyi, czy też przez popieranie jakimkolwiek sposobem całej akcyi parcelacyjnej, — czy ona wychodzi z poręki Banku Ziemskiego, czy Spółki parcelacyjnej rólników czy z prywatnego, byle uczciwego przedsiębiorstwa.

Zwracamy się wreszcie do czwartej klasy akcyonaryuszów, do reprezentantów inteligencyi, której udział w pierwszej emisyi był słabym. Czego co najmniej od inteligencyi ma społeczeństwo prawo żądać, to zrozumienia donioślości całej sprawy parcelacyjnej, to energicznego jej poparcia słowem i zachętą, to popierania każdej akcyi parcelacyjnej. Nie na tem jednakże powinna poprzestać. Zasoby jej majątkowe nie są wprawdzie znaczne, ale mniej od innych powyższych kategoryi ma ona potrzebę obawy „unieruchomienia" swego dorobku w akcyach Banku, mniej ma sposobności zużytkowania swych zasobów we własnych produkcyjnych przedsiębiorstwach. Z ufnością przeto zwracam się do reprezentantów inteligencyi, aby zechcieli w ostatniej jeszcze chwili podjąć z energią i zapałem sprawę Banku Ziemskiego, aby tak wpływem jak zasobami swemi dopomogli do uzupełnienia drugiej emisyi — i niedopuś ili tego, aby powiedziano o naszej dzielnicy: druga emisya upadła, bo Wielkopolanie nie zrozumieli i nie odczuli donioślości sprawy parcelacyi.

Skoro się znalazł chociaż tylko jeden gospodarz włościański, który stanął do szeregu, miałaby inteligencya mieć w tej sprawie tylko kilku lub kilkunastu reprezentantów? Byłby to smutny objaw na schyłku żałobnego roku jubileuszowego. Miejmy otuchę, że zwolennicy „Przeglądu", którzy dowiedli, iż umieją ponieść ofiarę dla swej idei, poprą skutecznie i tę sprawę na wskroś realną a zarazem idealną.

Dr. Z. C.

KRONIKA GALICYJSKA.

Wesołe czasy. — Emigracya ludu do Ameryki. Giełdowicze.

W takiej szczęśliwej, mlekiem i miodem płynącej krainie, jaką jest Galicya, można sobie pozwolić na lekceważenie drobiazgów. Mamy wciąż nowe ekscellencje, i nowych hrabiów, więc dusza rośnie, wzrok śmielej patrzy, coraz potężniejszy hymn radości z piersi naszych się wydobywa — i gdzie tam kto ma czas myśleć o tem, że ziemia coraz więcej się zadłuża. Następuje festyn po festynie, to ks. Adamowi dziękujemy za to, że oświadcza się z miłością dla kraju, to

hrabiemu Kaźmierzowi ścielemy drogę różami na wyprawę wiedeńską, to zachwycamy się ks. Eustachym, że równie mu dobrze w mundurze i pirogu namiestnikowskim, jak w marszałkowskim kontuszu, to witamy hr. Stanisława w gmachu sejmowym i na cześć tego „jednego z najznakomitszych mężów *XIX.* wieku“ układamy łamigłówki w pismach dla dzieci, to cieszymy się z kapelusza kardynalskiego ks. Sembratowicza, to z uwielbieniem spoglądamy na JE. Bilińskiego, obiecującego napełnić z naszych kieszeni pusty worek finansów austryackich, to sprawiamy owacyę prezydentowi sądu JE. Zborowskiemu za to, że jest prezydentem, to wydajemy obiady dla p. Męcińskiego, członka Rady nadzorczej Towarzystwa ubezpieczeń, za to że jest członkiem Rady nadzorczej Towarzystwa ubezpieczeń, to obchodzimy rozmaite jubileusze, oddajemy czołobitność obdarowanym wysokiemi orderami — a wobec tych festynów czyż możemy pamiętać, że sprawa regulacyi rzek galicyjskich zatonęła gdzieś tam w archiwach jakiegoś ministerstwa. Kiedy z łaski konstytucyi lub rozporządzenia cesarskiego, następują wybory, wtedy bawimy się całą duszą, wytaczamy na rynek swoje programy, przejeżdżamy wzdłuż i wszerz całą Galicyą, aby dodawać animuszu do zabawy, wzywamy do tańca starostwa, żanda merye i żydowskie kahały, rzucamy pieniądze całemi garściami, aby naród był wesoły — a komuby tam w tej karnawałowej rozrywce przyszło na myśl, że istnieje jakaś tam niebezpieczna sprawa ruska lub grożąca społeczeństwu sprawa żydowska, że gwałtownej naprawy potrzebuje ustrój gminny, że tysiące ludzi ginie z braku pomocy lekarskiej.

Pełne kieszenie i myśl od trosk wolna wytwarzają wciąż u nas nowe potrzeby, rozrywki i zaspakajania wrażeń, ztąd rozszerzamy działalność Towarzystwa wyścigów konnych, zakładamy nowe resursy (w samym Krakowie dwie w ciągu miesiąca powstały) powołujemy do życia nowe dzienniki, zamiast stare ulepszyć, budujemy nowe teatry, otwieramy nowe handelki, zakładamy nowe pisma humorystyczne, jeździmy własnemi parowcami po wodach morza Środziemnego i fetujemy na nich dostojników otomańskich, robimy wreszcie wyprawy myśliwskie do wnętrza Afryki. Czasem tylko wśród tej ogólnej zabawy usłyszymy jakiś zgrzyt, jakieś wołanie na trwogę, a wówczas następuje chwila zastanowienia, ale tylko chwila, bo oto przybywa Coquelin młodszy na gościnne występy, bo oto nadciąga karnawał, a z nim projekty balowe, bo oto p. Szlachecki został grafem, a p. Lokajski szambelanem — a więc dalej w pląsy, w górę kielichy, niech żyje Coquelin młodszy i starsza od niego bieda galicyjska.

Ale tych zgrzytów coraz więcej się mnoży, a niektóre z nich (czemu aż trudno dać wiarę) dochodzą nawet do uszu Koła polskiego. Ostatni z nich, to emigracya ludu galicyjskiego do Ameryki, emigracya na wielką skalę. Już przeszło przed pół rokiem (zdaje mi się w maju) w korespondencyi mojej do waszego „P r z e g l ą d u“ zwracałem uwagę na ten fakt i podałem w podejrzenie nie dobrą wolę, ale pożyteczną działalność dworskiej filiji Towarzystwa św. Rafała, założonej dla opiekowania się emigrantami. Zanim ta filia została założoną, słyszało się w prawdzie ciągle o emigrowaniu włościan, ale nie słyszało się, aby wychodziły z kraju partye ludu po 500 i 1000 ludzi liczące. Towarzystwo św. Rafała upodobało sobie niektóre stany Brazylji, a chwaląc stosunki w nich istniejące, rozgłaszając między ludem, że da mu opiekę w podróży, uprzystępni ceny przejazdu, nie zdołało zrozumieć, że w ten sposób tworzy niebezpieczną propagandę. Było to zrobione w najlepszej wierze, bo teoretykom i idealistom zdawało się, że w ten sposób uchronią lud od wyzyskiwania agentów. I może zdawało się dobrze, ale nie zastanowiono się nad tem, iż zamiast dziesięciu rodzin, które ajenci byliby wywieźli, wyjedzie dwadzieścia, korzystając z ułatwień i poniekąd zachęty. Co więcej, Towarzystwo św. Rafała jak się okazuje, działało lekkomyślnie, bo nie zbadało dostatecznie o ile włościanin galicyjski da się przystósować do warunków brazylijskich, o ile te warunki są dla niego korzystne. I pustoszały wsie całe, coraz więcej ludzi szło na zatracenie. Pierwsi opatrzyli się rusini, bo ta klęska najwięcej ich dotykała, gdyż emigracya z powiatów ruskich największe przybrała rozmiary. Wtedy to przeglądając pisma ruskie i nie mając podstawy w tym wypadku, nie wierzyć ich słowom, chciałem zwrócić za waszem pośrednictwem uwagę dziennikarstwa galicyjskiego na grożące niebezpieczeństwo. Ale dziennikarstwo to było wówczas zajęte wyścigami końskiemi i Rzeczą p. Koźmiana, a potem nastąpiła nadzieja ujrzenia hr. Badeniego na krześle prezydenta ministrów, potem nadeszła ważna chwila, stanowiąca o tem, kto będzie w sejmie wymierzał dodatki do podatków, — a więc takim drobiazgiem jak emigracya, nie mogło się zajmować szanujące się dziennikarstwo galicyjskie. Trzymając się zasady s u u m c u i q u e, dodaję, iż znajdowałem niewielkie wprawdzie, ale bądź co bądź pewne zajęcie się tą sprawą w dwóch wręcz względem siebie skrajnych organach lwowskich K u r y e r z e i P r z e g l ą d z i e. Ale i to ucichło, bo Towarzystwo św. Rafała składające się zresztą z ludzi bardzo porządnych, a nawet zacnych, umiało widocznie przekonać o swej pożytecznej działalności. I trudno się nawet dziwić dziennikom, które z dobrą wiarą przyjmowały tendencyjnie ułożone komunikaty. Ciekawa rzecz np. byłoby dowiedzieć się, kto im dostarczył tłomaczenia artykułu Scherzera, konsula austryackiego w Genuyi, w którym opuszczono ustęp, będący oskarżeniem lwowskiego Towarzystwa św. Rafała, a natomiast wtrącono frazes, iż najkorzystniejsze warunki dla siebie znajdują emigrujący w tych stanach brazylijskich, do których Towarzystwo św. Rafała skierowało prąd emigracyjny. Przypuszczać należy, iż Towarzystwo poszło na lep ajentów, biorących nagrodę pieniężną za każdego dostarczonego emigranta, że się nie spostrzegło jak wyzyskiwano jego dobrą wiarę. Tymczasem listy dochodzące z Ameryki przedstawiały taki stan straszny wychodźców, że wywarły przygnębiające wrażenie na ich krewnych. Dostarczono ich jednemu z posłów polskich, a w połączeniu z broszurą Scherzera, stały się one przyczyną, iż w Kole polskim zadzwoniono na alarm. Sprawa weszła na porządek dzienny, nie zatuszują jej już żadne protesty ani ze strony Towarzystwa św. Rafała, ani ze strony spokrewnionego z nim Towarzystwa handlowo-geograficznego. Towarzystwo św. Rafała zrobiło, co mogło najlepszego: rozwiązało się. Ale nie rozwiązała się kwestja emigracyi, będącej formalną klęską.

Dziś już nikt nie wierzy w tę Polskę brazylijską, którą nawet naiwni publicyści przedstawiali jako zgodną z interesami kraju. Marzyły się tym panom jakieś stosunki handlowe między córą brazylijską, a macierzą galicyjską. Śniło im się, że lud zbogaciwszy się za morzami, będzie powracał do kraju i powiększał majątek ekonomiczny i narodowy. Takie mrzonki już przepadły — n a s e t o l u d e j d u r y t y. Fakt pozostaje faktem, że utoczono krwi Galicyi i to krwi najlepszej. Oprócz straty w ludziach, poniesie ona jeszcze inne straty. Świeżo w K u r y e r z e L w o w s k i m p. Władysław Fedorowicz odsłonił jeszcze jedną stronę tej kwestyi. Oto pomiędzy włościanami którzy emigrowali i emigrują znajduje się znaczna liczba takich, co zaciągnęli pożyczki w kasach gminnych, a emigrując, sprzedali swoje ruchomości i grunta bez spłaty długu, majątek zatem niejednej z gmin został zupełnie zachwiany.

Suszą sobie ludzie głowy jak zaradzić klęsce, jak powstrzymać emigracyę. Wszystkie gadaniny o wpływie administracyjnym rządu i wpływie moralnym duchowieństwa, nie warte nawet dyskusyi. Gdzie jest choroba, tam potrzeba lekarza, a nie wpływów, gdzie niema chleba, tam go potrzeba dostarczyć, a nie tłomaczyć zgłodniałemu, że może się obejść bez pokarmu. Niech wielcy mężowie galicyjscy zamiast pisania broszur o ładzie i rozkładzie, zamiast wpajania w lud zasad konserwatywnych, postępowych lub socyalistycznych, zamiast wydawania pisemek, zamiast urządzania wystaw popisowych nędzy galicyjskiej, dadzą impuls postawianiu fabryk, energiczniej zabiorą się do rozwoju handlu i przemysłu. Wtedy tysiące rąk znajdzie zarobek, wtedy kapitały nie będą leżeć po bankach, ale obrócą się na pożytek ogólny.

Ba! te kapitały to nowy zgrzyt. My mamy kapitały — spytajcie się oto banków, kas oszczędności i bankierów. Te kapitały idą nawet w obrót, ale nie na cele podniesienia kraju. Kapitaliści-frazesowicze, prawiący wciąż o dobru publicznem, udający opiekunów przemysłu, odbierający hołdy od społeczeństwa za swą pracę, inicyatywę i pomysły głębokie, chowają swe kapitały albo co gorzej obracają niemi . . . na giełdzie. Ostatni krach wiedeński dotknął silnie Galicyę, zwłaszcza Lwów, i odsłonił niejedną tajemnicę. Nie chcąc poruszać spraw, które wprawdzie są publiczne, ale noszą i cechę spraw prywatnych, zaznaczę tylko ogólnikowo, iż pomiędzy graczami giełdowymi byli i nasi zasłużeni, „okadzani przez publicystykę mężowie“. Zażądaj od nich, aby założyli jakąś fabrykę do spółki i aby każdy z nich na ten cel złożył 10,000 złr., to ci zaraz odpowiedzą, iż rzecz to ryzykowna, że może się nie udać, — ale gra na giełdzie to nie ryzyko, to się uda z pewnością i na nią każdy z nich 100,000 złr. a nawet dwakroć, trzykroć z lekkiem sercem przeznaczy. Zażądaj od nich, ażeby poparli cele publiczne, narodowe, to albo wykręcą się sianem albo dadzą jakieś sto reńskich, będące procentem od procentu od tych kapitałów, które pchają w paszczę Molocha giełdowego. Przejrzyjcie spis składek na gimnazyum cieszyńskie lub szkołę polską w Białej, a nie znajdziecie tam tych „imion zasłużonych“, a jeżeli przypadkiem które z nich spotkacie, to z kwotą tak małą, jakby wyszła z kieszeni zaledwie średnio-zamożnego człowieka. Cała ofiarność galicyjska, to ofiarność powstała ze składek kilkudziesięcio-centowych lub kilko-reńskowych, płynących z kieszeni tych, którym często na własne potrzeby nie starczy grosza. Ci nie grają na giełdzie, o ich „zasługach“ milczą dzienniki.

Kiedy jest mowa o ofiarności naszych „wielkich“ przychodzi mi na myśl pewna sprawa. Podczas zjazdu dziennikarzy i literatów we Lwowie na pewnem prywatnem zebraniu słusznie zauważono, iż prawie cała nasza literatura znajduje się pod obuchem cenzury rosyjskiej. Cenzura ta krępuje talenta w Królestwie, a pisarze galicyjscy również się jej poddają, chcąc zarobić na kawałek chleba. Galicya czyta przeważnie książki i pisma wychodzące w Warszawie, a więc literatura i życie jej umysłowe zdane są na łaskę i niełaskę cenzury. Dziennikarstwo galicyjskie obywa się bez litera-

tury, feljetony wypełnia ocenzurowanemi przedrukami, albo tłomaczeniami. Młodzież galicyjska, pochodząc przeważnie z małego mieszczaństwa i ludu, wyniósłszy z domu prawie pierwotną cywilizacyę, nie ma się na czem po za domem kształcić, ztąd poziom młodszej inteligencyi galicyjskiej jest przerażająco nizki. Jest to stan opłakany, bo grozi prawie zupełnem zanikiem literatury, wyrażającej myśl narodową i cofnięciem się wstecz naszej kultury. Wszystkie te uwagi, tylko naturalnie szerzej i więcej wyczerpująco, podnoszono na owem prywatnem zebraniu podczas zjazdu literackiego, a następstwem tej dyskusyi było opracowanie rodzaju memoryału o potrzebie obudzenia życia literackiego w Galicyi, przez założenie pisma literackiego stojącego na wysokości dzisiejszej kultury, niezależnego od wpływów bieżącej polityki galicyjskiej, pracującego nad stworzeniem ruchu i życia literackiego, zdolnego do oddziaływania na umysłowe podniesienie młodszej inteligencyi galicyjskiej. Inicyatywę do tego dali zakordonowi miłośnicy literatury i oświadczyli się z gotowością nietylko moralnego, ale i materyalnego popierania pisma. Żądali tylko, aby Galicya nie cofnęła się od współudziału, a w tym sensie zredagowaną odezwę przysłali na ręce jednego z najwybitniejszych galicyjskich pisarzy, upoważniając go, aby w ich imieniu poczynił kroki, odwołując się do ofiarności ludzi majętnych, wybitnych i zasłużonych. I stało się co przepowiadali pessymiści: na kilkadziesiąt odezw rozesłanych, żadna nie odniosła rezultatu. Jedni „majętni a wybitni“ nie raczyli całkiem dać odpowiedzi, drudzy „majętni a zasłużeni“ odpowiądzieli, iż na razie nie są w stanie dopomódz tak pożytecznemu przedsięwzięciu, inni wreszcie uznali ją nawet za „potrzebę narodową“, ale uważali sprawę za „ryzykowną“, nie mogącą się udać, „bo, — dodawali z ubolewaniem — nie rozbudziło się jeszcze w Galicyi zamiłowanie do literatury“. I skończyło na projekcie.

Może do rozbudzenia tego zamiłowania przyczyni się choć w małej części Przegląd literacki, którego prospekt umieściliście w ostatnim numerze waszego Przeglądu, co mnie uwalnia od powtarzania, jaki ma być cel i treść nowego pisma. Powstaje ono znowu, jak wszystko prawie w Galicyi, ofiarnością „maluczkich“ finansowo. Członkowie krakowskiego Związku literackiego ofiarowali dla Przeglądu literackiego swoją pracę, a nawet materyalne niedobory postanowili pokrywać z własnych funduszów. Więcej żądać chyba trudno, a ofiarność taką może wywołać jedynie cel szlachetny, albo konieczność. Oba te motywy złożyły się po części na powstanie Przeglądu. Nie potrzeba dowodzić, że szlachetną jest praca dla dobra literatury, a koniecznością prawie staje się u nas uczciwa informacya o wychodzących książkach i ruchu umysłowym. Krytyce literackiej oddaje się w całej Polsce zaledwie kilku poważniejszych literatów, a ci nie są w stanie obsłużyć wszystkich pism perjodycznych. Stąd dział krytyki, z wyjątkiem paru miesięczników i paru pism tygodniowych albo całkiem jest przez wydawców lekceważony, albo też oddany na pastwę tej szarej rzeszy literackiej, która gotowa zarówno napisać artykuł o Kochinchinie jak sprawozdanie z wystawy obrazów, aby zaraz potem przystąpić do napisania studjum o sklepach spożywczych, przytułkach nocnych, stosunkach na Madagaskarze, lub wziąć się do rozbioru krytycznego książek wszelkiej treści. W Galicyi pod tym względem jest najgorzej, bo ta w pismach codziennych nie ma nawet i tej fuszerki krytycznej. Na darmo autorze wysyłasz do redakcyi wydaną przez siebie książkę, nawet wzmianki że wyszła nie doczekasz się. Chyba, że należysz do pewnego obozu, albo jesteś przyjacielem jednego z członków redakcyi — ha! wówczas odnośne pismo nietylko poda krytykę, ale zrobi cię Lelewelem, Kopernikiem, Homerem, Szekspirem, Macaulayem, Tainem, stosownie do tego, w jakiej gałęzi literatury lub na którem polu nauki pracujesz. Możesz także mieć to szczęście, iż wyda cię, twą książkę, księgarnia mająca stosunki, wowczas najnędzniejszą twoją powieść postawią przyjaciele wydawcy na równi prawie z utworami Sienkiewicza, Prusa, Orzeszkowej. Najgłośniejszą np. w dziennikarstwie galicyjskiem jest pewna księgarnia, która wydaje same przedruki nie płacąc naturalnie honoraryum tym autorom co zmarli, a żyjącym dając je w pewnej małej liczbie egzemplarzy lub gotówką po 8 złr. od arkusza. Takie traktowanie literatury przez dziennikarstwo sprawia, iż o najlepszych utworach z dziedziny beletrystyki lub literatury naukowej publiczność dowiaduje się tylko z ogłoszeń księgarskich, z których naturalnie nie może nabrać przekonania o treści i wartości utworów, a za to o tandecie czyta wciąż reklamy, na które się złapawszy, nie wierzy później dziennikom i choćby wypadkiem pomieszczona w nich pochlebna krytyka była najsumienniejszą, traci ona swe znaczenie, bo nikt na nią nie zważa i książki nie kupuje. Przegląd literacki temu skandalicznemu zaiste stanowi pragnie zaradzić i dlatego największą wagę będzie przykładał do umieszczania sumiennych sprawozdań literackich. Nie będzie on podawał wyczerpujących krytyk, bo do tego trzebaby pisma na znacznie większe rozmiary, ale będzie o każdej prawie książce wyszłej z druku pisał zwięźle, treściwie podając co ona zawiera, co nowego przynosi, o ile jest pracą orginalną czy kompilacją, uzupełniając to sprawozdanie krótką, sumienną oceną jej wartości. Prócz tego będzie Przegląd kładł szczególny nacisk na podawanie wiadomości o ruchu umysłowym i na bibliografię literacką czasopism, wobec bowiem coraz większego wzrostu pism perjodycznych nie sposób jest, aby nietylko miłośnik literatury, ale nawet fachowy literat miał je wszystkie w swojem ręku, a co za tem idzie dowiedział się jakie w piśmiennictwie perjodycznem pojawiły się prace bliżej go treścią swą obchodzące. Wszystkie prawie literatury europejskie posiadają pisma tego rodzaju, jakiem będzie Przegląd literacki, są one bowiem bieżącą historyą literatury, nieodzownym informatorem dla jej miłośników. Nie mówiąc już o wielkich literatach światowych, sami Czesi posiadają dwa takie pisma, jedno wychodzące w Pradze, a drugie w Bernie morawskiem, a myśmy się nawet na jedno nie zdobyli, a raczej mieliśmy jedno: Przegląd krytyczny, wydawany przez prof. Zakrzewskiego, który jednak upadł z braku poparcia, a po części może i z tego, że prawie wyłącznie poświęcał się literaturze naukowej i był organem pewnego odcienia politycznego. Może Przegląd literacki będzie od niego szczęśliwszy, czego mu życzyć należy dla dobra literatury.

K. Bartoszewicz.

Na Wyłomie.

(Fabryka wielkości. Taktyka królików.)

Mówiłem niedawno o reklamie. Brząka ona i w bęben wali na rynkach i ulicach, — grzechocze w sztuce, literaturze i polityce, — wydyma kropelki wody w bomble otyłe, — zawsze ponętna dla tłumów, zawsze niesmaczna dla tych, co ponad tłumy wyrośli. Nie przeczę, że na targowiskach Yankesów i w wielkomiejskich centrach Europy krzykliwszą ona i wszechstronniejszą niż u nas, lecz wątpię, czy gdziekolwiek jest pospolitszą, a mimo to równie skuteczną jak tutaj, gdzie dzięki niej właśnie, każde lojalno-klerykalne zero stać się może cyfrą, zwaną z rosyjska „*ważnaja piersona*“. Fałszywe wielkości są wszędzie, ale nigdzie ich nie ma stosunkowo tak wiele jak na gruncie poznańskim i nigdzie wydymanie bombli nie odbywa się tak po żabiemu, w rażących trywialnością swoją skokach i podrygach. Najciekawszem w tym względzie jest obserwować karyerę naszych „*juniorów*“, których „*seniory*“ zapisali nazwiska swoje tłustemi literami na listach „ładu i porządku“, a tem samem zdobyli dla synów swoich prawo do wielkości. Taki młodzieniec — nazwijmy go panem Filipem — już na ławach gimnazyalnych uchodzi za człowieka porządnych zasad i chłopca, rokującego wielkie nadzieje. Rozmaite ciotki i stryjenki roznoszą od domu do domu, po wsiach i miastach zalety przyszłej wielkości, a ona zawsze „korrekt“, zawsze zachwytów pełna gdy panujące zasady wchodzą na trybunę, zawsze bezkrytycznie za panią matką klepiąca zdawkowe frazesy konserwatyzmu, niekiedy wnosząca sfabrykowane przez zdolniejszych kolegów toasty na cześć ojców i matron polskich, wyliczająca przy okazyi z naciskiem koligacye swoje i przyjmująca z uśmiechem szepty salonowe, że „to, mosterdzieju, tęga głowa ten chłopak“, — kroczy żółwim krokiem po ciernistych drogach gimnazyalnych, zasłanych Homeremi algebrą, historyą i — o bólów bólu! — wypracowaniami. Wreszcie Filipek, dzięki profesorskim stancyom i korepetycyom, zdobywa maturę i jako „pan Filip“ wstępuje w progi berlińskiej, lipskiej, lub wrocławskiej *almae matris*.

Znaliście go — nieprawda? Ubierał się elegancko, półświatek Wintergartenu lub Zeltu znał go najdokładniej, kelnerki przepadały za nim, szukał zawsze towarzystwa kolegów odpowiadających mu rodem i majątkiem i raz po raz — gdy „czerwoni“ studenci urządzali „szopkę“, — zjawiał się jako asystent lub przywódzca „ładu i porządku“ na posiedzeniach akademickich. Tu mówką, wzruszeniem ramion lub marginesowym konceptem zaznaczał swój protest i biegł do Kempińskiego utopić w butelce oburzenie swoje na zuchwałe warcholstwo, lub w pieszczotach Minny znalazł zapomnienie. Pan Filip młodym w całej pełni nie był nigdy, — nigdy nie „dusił centaurów“ — nigdy nie „wysadzał z posad bryły świata“, — nigdy nie druzgotał „przesądów światło ćmiących“. Przeciwnie, w listopadowych popisach retorycznych wyrażał się nieraz z przekąsem o „niedojrzałych“ poglądach „Ody do młodości“, wielbił Henryka z „Nieboskiej komedyi“ i „Psalmy“, a o tym trzecim furlancie — jak mówi stary Zawiłowski w „Rodzinie Połanieckich“ — powtarzał z radością, że hr. Tarnowski zdarł mu laury z głowy.

Wreszcie pan Filip przepadł w egzaminie raz i drugi, a gdy za trzecim razem uzyskał tytuł doktora, referendaryusza lub dyplomowanego agronoma, dzienniki poznańskie rozniosły po świecie wiadomość, że „syn zasłużonego obywatela zdał świetny egzamin z odznaczeniem“. (Tak! u nas egzamina bez odznaczenia nie egzystują.) Tu rozpoczyna się już na dobre reklama. Pan Filip staje się bożyszczem prasy. Raz po raz wygłosi odczyt lub referat, — a tamtam dzienników opowiada tłumom, że młody Filip wstępuje w ślady starego Filipa i swoją „głęboką uczoność“ składa na

ołtarzu dobra publicznego. Innym razem na jakim wiecu lub zebraniu postawi wniosek o zamknięcie dyskusyi i znów bębni prasa, że głos zabierał nasz znany i uczony p. Filip. Nie ma zaiste jak karyera ludzi „ładu i porządku"! można być skończoną miernotą, wcieloną banalnością, — a mimo to zostać „wielkim, uczonym i zasłużonym", piastować urzędy honorowe, sterować społeczeństwem. — Poczekajcie! pan Filip posłem może będzie.

Szczęśliwe bractwo! Janczarska kapela reklamy grzmi mu fanfary i stawia pomniki, a choć ludzie rozumni, nie zaślepieni koteryjnym przesądem, uśmiechną się złośliwie, pan Filip rośnie i rośnie. — on prezes, on radzca, on dyrektor, on światło mądrości.

Oto stał się w mieście naszem fakt niezwykłej miary. Kogoś tam wybrano na jakieś stanowisko względnie zaszczytne i według startego zwyczaju odbyło się urzędowe przyjęcie. Dzienniki podały więc wiadomość, że mąż „ładu i porządku" w nowej dziedzinie swej pracy uroczyst go doznał przyjęcia i na oracye oficyalne odpowiedział znakomitą mową. *Probatum est.* Nie sądźcie jednak, że koniec już na tem. W kilka dni później znajduję drugą wzmiankę w dziennikach, że mąż „ładu i porządku" odpowiedział witającemu mówcy „b e z p r z y g o t o w a n i a", a mimo to tak doskonale, że aż mury jękły. Co dalej będzie, nie wiem, — przypuszczam jednak, że kropki jeszcze nie zrobiła prasa i niebawem ujrzymy złocisty ogon tej cudownej farsy.

Ba! cóż dziwnego!

W ten sposób uwierzy z czasem szeroka publiczność, że nikły drobiazg jest potęgą wielką. Rzuć grosz świecący na stół z brzękiem i hałasem, każ otrąbić heroldom, że to dukat złoty, a tłum łatwowierny kornie czoła uchyli. Bądź jednak ostrożnym, panie Filipie, bo dziś już pulsować zaczyna zdrowy prąd krytyczny w społeczeństwie, i podrygi twych niezgrabnych reklamistów, gotowe z czasem wiary nie znaleźć i śmiech tylko wzbudzić. Tak długo jedynie wzrastać możesz bezkarnie na drożdżach reklamy, dopóki zduszona opinia bezmyślnie wierzy sternikom swoim, a na czele społeczeństwa kroczą ludzie, którzy w kulcie miernoty upatrują podstawę własnego panowania. Pamiętam ciekawy dyalog, którego sam byłem aktorem, — pamiętam dziwnie, przedziwnie charakterystyczne zdanie jednego z najpotężniejszych królików poznańskich.

Rzecz dzieje się w redakcyi wielkiego czasopisma.

Brudne okna, kłęby dymu, stół, krzesła, pulpity, podarte gazety i kilka par nożyczek. Numer już wyszedł, gwar redakcyjny się uciszył, a królik zasiadł przy stole i układał wraz ze mną listę kandydacką jakiegoś komitetu. Wymieniłem nazwisko jednego z najinteligentniejszych obywateli miasta. Królik skrzywił się.

— Ej!... ten... nie...

— Dla czego? — spytałem — to człowiek światły i czynny.

— Za mądry, panie, za mądry.

Nie zrozumiałem tej odpowiedzi i spoglądałem pytającem okiem.

— Widzi pan — rzekł po chwili z złośliwym uśmiechem królik siwowłosy — na praktycznej polityce to wy młodzi się nie znacie. Z czasem pan zrozumie, że niéraz błędem jest zaprzęgać mądrych do roboty. Głupimi ja kieruję, i dobrze, — mądrzy mną chcieliby kierować. Zera zamienią się w cyfrę, jeżeli ja jako jedynka stanę na czele. Więcej jedynek nie potrzeba.

— A czy pan sądzisz — spytałem — że jako wyłączny kierownik mylić się nie możesz i głupich zawieść na bagna. Ta autokracya....

— Autokracya! autokracya! — przerwał mi królik. — To słowo słyszę bezustannie. Wiesz mi pan jednak, że muszę ludzi za łeb trzymać, bo inaczej z siodła wylecę.

— Ale to odtrącanie samodzielnych i jasno myślących ludzi od steru, to wysuwanie umysłowych nullów na czoło społeczeństwa wyjść nie może na pożytek sprawie publicznej. Jest to fabryka fałszywych wielkości.

Zaściankowy dyplomata uśmiechnął się cynicznie.

— Z takiemi łatwo się pracuje i bezpiecznie. Mnie potrzeba tylko wołów roboczych. Tem stoję i tem stać będę.

Dziwne chwile otwartości miewał czasami ten królik! Mój kandydat do komitetu przepadł, — zerami rządził sam królik.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

* **Odczyty.** Nazwisko p. K a ź m i e r z a P u f f k e g o dobrze się zapisało w pamięci publiczności poznańskiej odczytem „o kobiecie w dramacie współczesnym", wypowiedzianym w ubiegłym sezonie zimowym na sali hotelu „Victoria". To też dziwić się nie można, że gdy 13 bm. prelegent powtórnie wstąpił na estradę, by scharakteryzować „najnowsze prądy w literaturze dramatycznej", znalazł salę nabitą aż do ostatniego miejsca, — co rzadko w stosunkach poznańskich się zdarza.

W śmiałych zarysach naszkicował pan K a ź m i e r z P u f f k e obraz ewolucyi społecznej z końca przeszłego i w ciągu obecnego stulecia, rzucając w końcu wróżbę wielkich przeobrażeń, które dziś znowu do bram społeczeństwa pukają i prędzej czy później, w tej lub owej formie, zwyciężyć muszą. Ewolucya społeczna, — zdaniem prelegenta — wywierała wpływ dominujący na nowszą literaturę dramatyczną, na której wycisnęła stempel burżuazyi. W szerokich rzutach poglądowych charakteryzował następnie prelegent francuzką komedyę obyczajową i utwory Ibsena, — mówił o tematach, tendencyach i artystycznej wartości najwybitniejszych kreacyi dramatycznych, wynosząc ponad twórczość mistrzów nadsekwańskich geniusz autora „Nory" i „Upiorów". Nader interesującym był mianowicie ten ustęp odczytu, w którym mówca rozwijał poglądy swoje na realizm sceniczny i wyłącznie temu kierunkowi wróżył prawo trwałego obywatelstwa na deskach teatralnych. Wszelkie inne prądy, a mianowicie dramat Maeterlinckowski, pragnący w symbolach przemawiać do widzów, sprzeciwiają się podstawowym warunkom sztuki dramatycznej i zdobyć sobie mogą tylko przejściowe znaczenie. — Końcowe ustępy odczytu poświęcił prelegent dramatowi polskiemu, a położywszy nacisk na społeczny kierunek nowoczesnych utworów, zaznaczył, że zabójcza atmosfera polityczna krępuje należyty rozwój sztuki narodowej. W odczycie swoim wygłoszonym językiem silnym i barwnym, a uderzającym wielką erudycyą i nieco pobieżnym ale trafnym krytycyzmem, uwzględnił p. K. P u f f k e również literaturę dramatyczną wyrosłą na gruncie poznańskim i zwrócił uwagę na objawy bujniejszego życia w tym kierunku.

Drugi odczyt publiczny wygłosił p. A l f o n s P a r c z e w s k i z Kalisza na sali „Towarzystwa Przyjaciół Nauk". Prelegent w dwugodzinnym przeszło wykładzie mówił o „Szczątkach Kaszubskich w prowincyi pomorskiej", a podawszy na wstępie literaturę tego przedmiotu — że tylko wymienimy rozprawy Hilferdinga, Nadmorskiego Ramulta i Marońskiego — przedstawił w drugiej części cennej swej pracy dzieje pomorskich Kaszubów oraz rezultat osobistych badań nad obecnem położeniem re[illegible]szubskich w powiatach słupskim, bytowskim i lemborskim. Skoro odczyt p. P a r c z e w s k i e g o ukaże się w rocznikach Towarzystwa Przyjaciół Nauk, poświęcimy obszerniejszą ocenę tej na głębokich studyach opartej rozprawie.

* * *

* **Serdecznie polecamy** czytelnikom naszego pisma maleńką książeczkę, wydrukowaną w Mikołowie nakładem wydawnictwa Karola Miarki. Jest to „Podróż po wszechświecie", popularne rozprawy o księżycu, słońcu, planetach i gwiazdach. Broszura przeznaczona jest dla średnich czytelników. Wyżej w nauce posunięci nie znajdą w niej nic nowego, ale na odczytaniu nie stracą, bo czas przepędzą dobrze, a niejeden wiadomy sobie szczegół odświeżą w pamięci. Nawet dla ludzi, którzy nigdy takich książek nie czytali, broszura jest również przystępna, gdyż skreśloną została popularnie, językiem prostym i zrozumiałym. Wykład żywy, obrazowy; hypotezy starannie ominięto, i fantazyi nie popuszczono wodzów, książeczka trzyma się więc ściśle granic nauki. Co mianowicie za zaletę tej książki uznajemy — to doskonałe i obficie załączone rysunki objaśniające.

* * *

* **Jeszcze dwie książeczki** dla ludu wyszły z pod prasy. Jest to „Dziadowski wychowanek" Klemensa Junoszy i „W zimowy wieczór" Elizy Orzeszkowej, w skróceniu p. Fr. Morzyckiej. Broszurki te dobrze odpowiadają swemu przeznaczeniu — jak jedna tak druga czyta się z zajęciem, a tonu moralizatorskiego, jaki zazwyczaj prostego czytelnika nie chwyta za serce i do lektury zniechęca, — niema w nich wcale. Sens moralny wypływa tu sam przez się i sercem dośpiewany być musi i będzie przez czytelnika samego. Boć i nie może być inaczej, gdy sierota, wzięty na wychowanie przez dziadka kościelnego, staje się z czasem człowiekiem uczciwym i zdolnym organistą, gdy w wieczór zimowy zbój Bąk, wszedłszy do chaty dla rozgrzania się, musi wysłuchać opowieści o sobie samym i uczuć wyrzuty sumienia, żal i skruchę za swe postępki.... Rzecz ożywiona jest ilustracyami, co tem więcej pociąga do książki siermiężnego czytelnika... „Wychowanka" ożywił ołówek F. Kostrzewskiego, „Wieczór zimowy" udatnio zilustrował C. Tański, a że język jest bez zarzutu, broszurki te na pochlebną wzmiankę w zupełności zasługują.

* * *

„Russische Zustände" — czasopisma tego wydawanego w Zurychu ukazał się zeszyt trzeci i mieści na naczelnem miejscu przekład odezwy socyalistów polskich grupy „Przedświtu" do socyalistów rosyjskich z roku 1881, przyczem redakcya wykazuje, że grupa ta, zajmująca dziś stanowisko nawskroś narodowe polskie, w owym czasie była nawskroś kosmopolityczną. Szczególną wartość nadają zeszytowi obecnemu dwie korespondencye oryginalne z Rosyi — jedna o pierwszym spisku na życie Mikołaja II., a druga o roli, jaką gra Rosya w sprawie rozruchów ormiańskich. Rubryki „Przegląd polityczny", przegląd prasy, drobna kronika, rozmaitości i bibliografia, jak zwykle obfite i redagowane z pewnem zabarwieniem politycznem. W odcinku podaje redakcya przekład (w wyjątkach) zapisków pewnego wyższego urzędnika rosyjskiego, Policyna, o życiu wygnańców politycznych w Sybirze. Zapiski te drukowane były niedawno w ultrakonserwatywnym miesięczniku „Ruskoje Obozrenije" i tem bardziej zasługują na uwagę.

*** Nowe przekłady Szekspira.** Do tłomaczeń starego Willa pióra Ulricha, Koźmiana, Paszkowskiego, Ostrowskiego etc. przybywa szereg nowych przekładów z pod pióra „najmłodszych“. Wchodzą one w skład „Dzieł Szekspira“, wydawanych pod redakcyą dr. Henryka Biegeleisena, nakładem zasłużonej „Księgarni Polskiej“ we Lwowie. Stare tłomaczenia grzeszyły — jak wiadomo — tem, że zanadto bywały czasami „klasyczne“, a Szekspir wielki, mimo barbarzyństwa, nie może się zawsze pomieścić w ramach gładkiego, wytwornego klasycyzmu. W nowem wydawnictwie, obliczonem na szeroką publiczność, tak taniością swoją, jak i objaśnieniami, uprzystępniającemi zrozumienie poety, zastąpił dr. Biegeleisen tam, gdzie potrzeba wymagała, dawne przekłady nowemi. Mamy więc „Stracone zachody miłosne“ w tłomaczeniu Edw. Porębowicza, „Opowieść zimową“ z pod pióra Stan. Rossowskiego, a przekładu Jana Kasprowicza: „Komedyę omyłek“, trzy części „Króla Henryka VI“, tudzież „Henryka V“. Imiona młodych tych sił mówią za siebie, a ich przekłady w połączeniu z przedrukami Paszkowskiego, Koźmiana i Korzeniowskiego, objaśnione pracowitem piórem Biegeleisena, który w ostatnim tomie zbiorowego tego taniego wydania umieści na najnowszych badaniach opartą biografię Szekspira, tudzież rozprawę o losach jego dzieł w Polsce — wszystko to razem wzięte czyni edycyę jedną z najlepszych i najprzystępniejszych w Europie. Zarzucić jej można korektę w pierwszych tomach niedbałą, oraz fakt, iż nie włączyła wzorowego, pełnego wierności i poezyi tłomaczenia „Hamleta“ przez Kasprowicza, wydanego ongi przez „Mrówkę“. Zresztą nie pozostawia strona zewnętrzna nic do życzenia.

* * *

*** Jan Kazimierz Zieliński.** *Wspomnienia starego kawalera. Lwów. Księgarnia H. Altenberga, 1896, str. 286.*

Gdy przed kilku miesiącami z pióra tego samego autora wyszedł tom „Szkiców“ i powieść „Ofiary“, trudno nam było dopatrzeć się w tych wydawnictwach choć tylko słabej iskierki talentu. Ani pomysłowość p. Zielińskiego, ani charakterystyka bohaterów jego, ani styl, ani psychologia nie wytrzymywały najłagodniejszej krytyki, — to też z niemałem zdziwieniem przeczytaliśmy najświeższy tom młodego autora p. t. „Wspomnienia starego kawalera“, zdradzający bądź co bądź przebłyski prawdziwego talentu.

W początkowych ustępach znajdujemy nieco urywane opowiadanie o romansie „kawalera“ w mieście gondol i dożów. Bohaterka namiętna, narwana, nie chciała się dopuścić wiarołomstwa, ale proponowała kochankowi ni mniej, ni więcej, tylko uwolnienie jej od męża za pomocą sztyletu. Kawaler uciekł i pod wrażeniem tej dziwnej awantury zakopał się na wsi. Tu po latach kilku rozpoczyna się nowy jego romans bardzo dziwaczny i oryginalny. Zbankrutowany sąsiad wmówił w niego, że powinien nabyć jego majątek i ożenić się z jego siostrzenicą Maryą, a więc, choć się złościł na obie propozycye, dał je sobie w końcu narzucić. Wprawdzie czuł on coś do Maryi, ale ona oświadczyła mu jasno i wyraźnie, że wychodzi za niego z przymusu, że go odepchnie od siebie po ślubie i zgotuje mu piekło. I dotrzymała słowa. Zamknęła się, spotykała się z nim tylko przy obiedzie. Żadne sposoby na upór jej nie pomogły, nawet chęć wzbudzenia zazdrości, bo zjawiła się właśnie owa włoszka, czy raczej zwłoszczona Polka, będąca kuzynką żony „kawalera“. Przyczyną zaś postępowania bohaterki było przejęcie się teoryą, którą Biörnson wygłosił w swej „Rękawiczce“. Powiedziała, że odda rękę tylko „uczciwemu“, według jej pojęcia, mężczyźnie, a ponieważ „kawaler“ tą uczciwością wykazać się nie mógł, a więc na nic prośby, groźby i błagania. Przyjaciel jego, kochający się w Maryi, zapewniał go, iż tego rodzaju kobieta „uzna władzę wobec gwałtowności czynu“. I po wielu przejściach i awanturach, kiedy bohater rzucił się na Maryę, aby ją zadusić, bezwiednie skorzystał z rady przyjaciela. Teorya Biörnsona spoczęła w grobie — Marya uznała władzę.

Taką jest treść najnowszej książki pana Zielińskiego, rażącej gdzieniegdzie dziwactwem fabuły, brakiem pogłębienia psychologicznego i problematycznością tendencyi, zalecającej się jednak poprawną techniką literacką i żywem opowiadaniem.

* * *

*** „Przegląd Wszechpolski“** wychodzący we Lwowie powiększa od 1-go stycznia format, tj. zamiast dwóch będzie zawierał trzy arkusze druku.

Stały dodatek, „Przewodnik handlowo-geograficzny“ nie ulegnie zmianie pod względem rozmiarów i będzie, jak dotychczas, wychodził w objętości jednego arkusza.

Obok tego również od 1 stycznia rozpocznie się przy „Przeglądzie wszechpolskim“ wydawnictwo stałego dodatku w języku francuzkim p. n. *„La correspondance polonaise“.* Dodatek ten, objętości jedno lub półarkuszowej, stosownie do ilości materyału, przeznaczony będzie do informowania cudzoziemców, a w pierwszym rzędzie prasy europejskiej o naszych stosunkach politycznych i społecznych, o współczesnym ruchu umysłowym polskim, do prostowania błędnych pojęć o naszem społeczeństwie itd.

„La correspondance polonaise“ będzie zawierała artykuły oryginalne oraz przekłady i streszczenia artykułów „Przeglądu wszechpolskiego“, mogących mieć znaczenie dla cudzoziemców.

* * *

*** Powieści Sienkiewicza** wyszły po angielsku niemal w całości w przekładzie amerykanina p. Jeremiasza Curtin. Swojego czasu zamieściło „Atheneum“, najwybitniejszy ściśle literacki i artystyczny organ, pochlebne o nich recenzye, z pominięciem powieści „Bez dogmatu“, którą przełożyła zmarła pani Iza z Słupskich Young. Dopiero obecnie, ex re ukazania się tej powieści w francuzkiej szacie, za którą odpowiedzialnym jest hr. A. Wodziński, znajdujemy w londyńskiem „Atheneum“ następującą wzmiankę: „Sans dogme“ jest jednym z tych rozwlekłych (dull) pamiętników, które były w modzie od r. 1805 do 1820, jednakże tu i owdzie rozjaśnionym blaskami nowoczesnemi (wit) ale jakże rzadkiemi!“ Przy tej sposobności nie od rzeczy może zwrócić uwagę na francuzkie dzieło angielskiego uczonego p. t. „Jean de Lasco, reformateur protestant“ par George Pascal, który z uwielbieniem kreśli postać i dzieje Jana Łaskiego. O pracy tej zamieszcza „Atheneum“ pochlebne i dokładne, bo aż do pisowni polskiej rozciągające się sprawozdanie.

Kronika powszechna.

Wiadomości społeczne i polityczne. Ministrem spraw wewnętrznych w Rosyi mianowany został p. Goremkin, a dotychczasowy oberpolicmajster Warszawy, jenerał Kleigels, otrzymał urząd naczelnika Petersburga. — „National Ztg.“ zapewnia, że pogłoski o ustąpieniu ministra stanu Boettichera, nie mają żadnej podstawy. — W dniu 18-go stycznia obchodzić będą Niemcy 25-letni jubileusz istnienia cesarstwa. Ks. Bismark obiecał współudział w wielkiej uroczystości. — Niemieckie władze policyjne rozpoczynają znów na dobre prześladowanie polskich towarzystw w Prusach zachodnich. W Grudziądzu np. oświadczył burmistrz p. Polski urzędowo, że nie ścierpi na przyszłość udziału kobiet i dzieci w wieczorkach familijnych urządzanych przez tamtejsze Tow. Przemysłowe. Odczyty, śpiewy i deklamacye, wygłaszane na takich zabawach, służą — zdaniem p. burmistrza — „wielkopolskiej agitacyi“ i dowodzą jasno że Towarzystwo pragnie wpływać na sprawy publiczne Coraz lepiej! „Nowy kurs“ święci tryumfy swoje. — Po niesympatycznem przyjęciu, jakiego doznał projekt utworzenia izb rzemieślniczych w parlamencie niemieckim, rząd, zdaniem „Nordd. Allg. Ztg.“, starać się będzie na innej drodze i w innej formie utworzyć jakąkolwiek organizacyą dla rzemiosła.

* * *

Teatr i muzyka. W ubiegły wtorek wznowiono na scenie naszej dramat Szujskiego p. t. „Halszka z Ostroga“. W tytułowej roli wystąpiła p. P a c z k o w s k a, składając grą silną i konsekwentną nowy dowód niepospolitego talentu. Wśród przedstawicieli ról męzkich wyróżniał się świetną charakterystyką typu p. S k i r m u n t w roli energicznego stryja i opiekuna Halszki. Na uznanie zasługują również pp. S k o r a c z e w s k i, J a k u b o w s k i i B e r s k i, oraz pani K r ó l i k o w s k a w roli Beaty. — „Niwa“ warszawska donosi, że teatr krakowski nabył nową sztukę Lubowskiego p. t. „Przesądy“, oraz nowy dramat St. Kozłowskiego, autora „Alberta wójka“, p. t. „T u r n i e j“. Jan Gadomski, od dawna milczący autor Larika, obiecał pono również dostarczyć w bieżącym sezonie scenie krakowskiej świeżo wykończony utwór dramatyczny. — Dramat Echegeraya p. t. „El estigma“ (Piętno) nie znalazł powodzenia w Madrycie. — Sztuce Henryka Lavedana p. t. „Les viveurs“ przyznaje krytyka dobrą charakterystykę paryzkich lowelasów i kurtyzanek obok mistrzowskiego dyalogu. — Karol Lecocque skomponował nową operetkę p. t. „Cyrano“. — Adolf Grodzki, słynny skrzypek, mianowany został dyrektorem Royal College of Music w Manchesterze. — Czteroaktowa sztuka I. K. Zielińskiego p. t. „Mira“ doznała we Lwowie średniego przyjęcia.

Rozmaitości.

Oryginalne Interview.

(Kiedy się jest sławnym...).

Rudyard Kipling, głośny romansopisarz angielski, taką o swojej sławie opowiada historyę:

— Słyszę ja raz wrzawę w przedpokoju.

— A co tam? — zapytuję służącego.

— To ten pan, proszę łaski pana, i te panie chcą wejść i nie dają się odprawić...

— I nie damy! — zahuczał głęboki bas z po za drzwi, a w tejże chwili, odepchnąwszy służącego, wszedł do mego pokoju ryży jegomość, prowadząc za sobą pięć chudych, jak piszczałki, córek.

— Czy pan jesteś Rudyard Kipling? — zaczął bas.

— Tak.

— Dzieci! To jest master Rudyard Kipling!

— Oh, papo!...

— Czy to jest pokój, w którym pan zazwyczaj pracujesz?

— Tak.

— Dzieci! To jest pokój, w którym master Rudyard Kipling zazwyczaj pracuje!

— Oh, papo!...

— Czy to jest pióro, którem pan zazwyczaj piszesz?

— Tak.

— Dzieci! To jest pióro, którem master Rudyard Kipling zazwyczaj pisze!

— Oh, papo!..

Jegomość zatyka pióro do kieszonki.

— Czy to pan sam pisałeś na tem papierze?

— Ja sam.

— Dzieci! to sam master i t. d.

— Oh, papo!...

Jegomość dzieli mój manuskrypt pomiędzy piszczałki.

Poczem basem:

— Czy więcej niema nic do zobaczenia?

— Żałuję bardzo... nic więcej...

— Dzieci! Więcej nie ma nic do zobaczenia! Obejrzyjcie się raz jeszcze po mieszkaniu *największego współczesnego badacza Afryki* i pójdźmy. *Adieu!*

Dodajmy — kończy Kipling — że o Afryce wiem akurat tyle, co o księżycu, albo nawet mniej nieco.

Odpowiedzi Redakcyi.

Gal. „Światła i kwiaty“ najlepiej zapisać wprost u nakładcy p. Kozłowskiego (Poznań ul. długa nr. 8) lub w którejkolwiek księgarni poznańskiej. Co do nas to służymy wszelkiemi wskazówkami ale wysyłania książek podjąć się nie możemy.

O. Rusini własnego teatru narodowego we Lwowie nie posiadają. Od czasu do czasu odbywają się jednak w teatrze hr. Skarbka przedstawienia ruśińskiego towarzystwa dramatycznego, subwencyonowanego przez rząd galicyjski i pozostającego pod zarządem towarzystwa „Ruska Besida“.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28.